



# Gubin i okolice

BIULETYN  
STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ ZIEMI GUBIŃSKIEJ

---

Nr 1 (16) marzec 2012



**Członkom i Sympatykom SPZG  
pogodnego i radosnego przeżywania  
Świąt Wielkiej Nocy**

**życzy Prezes z Zarządem**



**Gubin i okolice**

BIULETYN

STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ ZIEMI GUBIŃSKIEJ

**WYDAWCA: STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ ZIEMI GUBIŃSKIEJ**

Adres redakcji: 66-620 Gubin, ul.3 Maja 2, tel. 68 455 81 62, [www.spzg-gubin.pl](http://www.spzg-gubin.pl)

**Wiesław D.Łabęcki** - redaktor naczelny, **Stefan Pilaczyński** - współpraca. Kontakt

e-mail: [stepil@o2.pl](mailto:stepil@o2.pl) Redakcja prosi o teksty zapisane elektronicznie lub wydruki komputerowe.



Zrealizowano przy pomocy finansowej gminy Gubin o statusie miejskim

## Noworoczne spotkanie



### Toast za pomyślność Stowarzyszenia i jego członków w 2012 roku

Już po raz piąty członkowie Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Gubińskiej wzięli udział w spotkaniu noworocznym, które zorganizowano w sali bankietowej restauracji Retro. Prezes stowarzyszenia **Stefan Pilaczyński** serdecznie witał przybyłych, szczególnie przedstawicieli Rady Miejskiej w osobach **Urszuli Kondracik** i **Zygryda Gwizdalskiego**. Prezes pełnił obowiązki zarówno gospodarza, jak i konferansjera, czuwając nad sprawnym i na tyle uroczystym, co i rozrywkowym przebiegiem imprezy.

Prezes Pilaczyński wręczył legitymację nowej członkini stowarzyszenia **Janinie Maciejewskiej**. Dziękował za udzieloną stowarzyszeniu w zeszłym roku pomoc: **Marianowi Boguszewiczowi**, który prowadząc firmę rachunkową, udziela wszechstronnej pomocy SPZG, **Izabeli Nieborak** prowadzącej księgowość stowarzyszenia, **Bartłomiejowi Bartczakowi** - burmistrzowi Gubina; **Zbigniewowi Barskiemu** - wójtowi Gminy Gubin, **Stanisławowi Fudymie** - prezesowi GS „SCh” Gubin, **Piotrowi Puszkarskiemu** - dyrektorowi PUP, **Annie Wróbel** - naczelnikowi wydziału Urzędu Miejskiego w Gubinie, **Romanowi Gąsiorowi** - kierownikowi MZUK, **Zdzisławowi Ptakowi** kierującemu firmą Locum, a także **Jerzemu Zawadzkiemu**, **Zdzisławowi Sobolewskiemu** i **Z.Gwizdalskiemu**.

W trakcie spotkania mobilizowano uczestników do składania datków na zakup gongu zegarowego do Baszty Ostrowskiej. Wesołą atmosferę wywołał występ Poetycko-Teatralnej Grupy Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Szcze-

gólne brawa otrzymali prezenyerzy własnych utworów. **Henryk Kapliński** bawił publiczność swoją wierszowaną satyrą, porównującą zabawnie Gubin do Warszawy. Gubin pobił Warszawę chociażby dlatego, że Warszawa ma Most Poniatowskiego, a my mamy przecież Poniatowskiego. **Eugenia Moch-nacz** usprawiedliwiała kłopoty starcze metodą satyryczno-medyczną, zawarła we własnej zabawnej rymowance. Piosenki Grupy Teatralnej zachęciły salę do wspólnych śpiewów, które trwały i trwały... Były też tańce, a nawet swojskie hołubce, które rozpoczął **Wiesław Łabęcki** z **Janiną Izdebską**. Jednym słowem zabawa na cztery fajerki, podsycana nie tylko słodyczami. Po-tem bajania, wspomnienia i dowcipasy nie miały końca. (Ols)

## Autorzy i „Alfabet gubińskich ulic” - wyróżnieni

Wiesław D. Łabęcki i Stefan Pilaczyński z gubińskiego SPZG zostali wyróżnieni Lubuskim Wawrzynem Naukowym 2011 za najlepszą książkę popularnonaukową. Zaszczyt ten przypadł 23 lutego 2012 autorom książki "Alfabet gubińskich ulic. Alphabet der Gubiner Straßen". Publikacja ukazała się dzięki finansowemu wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Książkę na język niemiecki przełożyły: **Katarzyna Strzałka** i **Izabela Juszczynska**.

Laureaci otrzymali okolicznościowe dyplomy i kwiaty, które wręczył przewodniczący jury prof. **Wojciech Strzyżewski**. Dyplomy, a w treści gratulacje podpisała Marszałek Województwa Lubuskiego **Elżbieta Polak**. Uroczystość odbyła się w Sali Dębowej Wojewódzkiej i Miejskiej



Gratulacje od przewodniczącego jury prof. W. Strzyżewskiego

Biblioteki im. C. Norwida w Zielonej Górze przy udziale sali wypełnionej po brzegi gośćmi, wśród których jeden rząd wypełnili gubinianie - znajomi i przyjaciele laureatów.

Było wiele gratulacji i życzeń na kolejna lata pracy na rzecz społeczności gubińskiej.

Za wszystkie przekazane gratulacje i życzenia oraz współuczestnictwo i wspólne przeżywanie tego wyróżnienia serdecznie dziękujemy - Wiesław D. Łabęcki i Stefan Pilaczyński.

## Z wizytą u starosty

Prezes i sekretarz SPZG spotkali się ze starostą krośnieńskim **Jackiem Hoffmanem**. W rzeczowej rozmowie podniesiono tematy związane z funkcjonowaniem organizacji pozarządowych w powiecie i pomocą udzielaną przez starostwo. SPZG dwukrotnie skorzystało z możliwości udziału w zadaniu publicznym ogłoszonym przez starostę. W ramach zdania z 2011 roku dokonano inwentaryzacji miejsc, na których przed wojną znajdowały się cmentarze. Wykonano wiele fotografii i skorzystano z relacji mieszkańców wsi. Powstał ciekawy dokument, którego egzemplarz przekazano staroście.

Prezes Stefan Pilaczyński poinformował J.Hoffmana o aktualnych zamierzeniach realizowanych przez stowarzyszenie. Starosta pozytywnie ocenił zamiar uruchomienia gongu na Baszcie Ostrowskiej, deklarując finansową pomoc starostwa w wysokości 1000 zł.

Godzinne spotkanie upłynęło w sympatycznej atmosferze. **(sp)**

## Tajemnice codzienności

Taki temat mają tegoroczne obchody Europejskich Dni Dziedzictwa 2012, które zaplanowano na wrzesień.

Chodzi o zwrócenie uwagi na dziedzictwo niematerialne, poprzez pokazanie kreatywności ludzi, wspólnoty kulturowej i historycznej. Ta wspólnota jest podstawą do określenia tożsamości każdego człowieka. Zamiarem programu "Tajemnic codzienności" jest ocalenie od zapomnienia piękna i uroku codziennych zdarzeń, np. zwykłego domowego życia, spotkań, języka, muzyki, obyczajów, obrzędów, pracy, świąt, zabaw i zabawek, kultura stołu, wytwarzania i rękodzieła. Człowiek żyje tak długo, jak długo żyje pamięć o nim. Nie każdy tworzy dzieła, które podziwiają następne pokolenia, ale każdy tworzy historię. Choćby naszą, rodzinną, najmniejszej miejscowości... Pamięć o naszych bliskich ocalimy od zapomnienia, gdy wspomnieniami podzielimy się z innymi.

Zachęcam więc do ciekawego rozglądania się wokół; odkrywajmy nieznanne, przywołajmy zapomniane. **(wł)**

znowu prosimy	<b>Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Gubińskiej</b> ul. 3 Maja 2 66-620 Gubin
<b>1%</b> Twojego podatku	<b>KRS 0000203707</b> Dzięki Państwa przychylności w 2011 roku mogliśmy zrobić więcej

## Wzbogaciły się zbiory SPZG

**Archiwa SPZG i zbiory Izby Muzealnej systematycznie wzbogacają się. Dziękujemy, dziękujemy...**

W październiku 2011, dzięki Genowefie Godlewskiej, zabezpieczono figurę św. Antoniego, pochodzącą z kościoła w Witaszkowie. Figura ma 60 cm wysokości i przed laty stała przy bocznym ołtarzu. Pochodzi z lat powojennych. Obecnie w kościele stoi nowa figura świętego zakupiona pod koniec XX wieku przez Kazimierzę Grondys (z d. Barska) była mieszkanką Starosiedla obecnie mieszkającą we Wrocławiu,

Pan Skarżyński z Gubina przekazał Statut Orts - Krankenkasse der Tuchmacher und verwandter Berufsgenossen zu Guben Guben 1893 (Statut Miejscowej Kasy Chorych dla sukienników i zawodów pokrewnych).

Jerzy Zawadzki 4 stycznia przyniósł tablicę o treści: Międzyspółdziel-

niana Przychodnia Rehabilitacyjna przy Spółdzielni Inwalidów "Pokój" w Gubinie ul. Legnicka 17 tel. 178 i 363.

Cztery, stare łyżki posrebrzane oraz kufel od piwa i wazon, pochodzące z Niemiec, ofiarowała w styczniu Janina Maciejewska. Na jednej z łyżek można odczytać napis ALBA100.



## Zwykły dzień w SPZG...



Joachima Winklera z gubeńskiego Heimatbundu interesuje działalność Izby Muzealnej SPZG. Informacji udzielała Barbara Firlej



Bodo Podlich (Honorowy Członek SPZG) z małżonką odwiedził Izbę Muzealną. Matężstwo złożyło życzenia świąteczne

## Uregulowano rachunek za gong

Wielokrotnie w lokalnych mediach i nie tylko pisaliśmy o ogłoszonej w październiku społecznej zbiórce pieniędzy na zakup karylionu dla zegarów na Baszcie Ostrowskiej. Pragnę poinformować mieszkańców, iż udało się zebrać potrzebną kwotę pieniędzy. Tym samym gong stał się naszą własnością.

W związku z tym pragnę jeszcze raz podziękować wszystkim tym z Państwa, którzy w odpowiedzi na naszą prośbę wpłacili pieniądze. Pod koniec stycznia wydawało się, że zbiórka przedłuży się w czasie, do szczęścia brakowało jeszcze dość sporo pieniędzy. Jednak hojność Państwa **Wioletty i Zbigniewa Ponia-towskich, Brugharda Schollmeyera** i jego Małżonki oraz Pana **Andrzeja Iwanickiego** zdecydowały o niemal błyskawicznym zakończeniu zbiórki.

Lista ofiarodawców nie jest na



tyle długa, by nie mieściła się w Biuletynie. Wszak wpłacający, w pewnym sensie, przejdą do historii. Z całego serca dziękuję Państwu. Teraz sporządzimy pamiątkową dokumentację obrazującą przebieg zbiórki, listę ofiarodawców oraz dokumenty towarzyszące zbiórce.

**Pieniądze na karylion wpłacili (w kolejności wpłat): Rada Osiedla nr 1 (wcześniej rozwiązana, pieniądze pozostałe na koncie przekazała SPZG), Józef Kuta, Kazimiera Czabator, Jerzy Zawadzki, Krystyna**

## Zwykły dzień w SPZG...



**Panie Maria Dziewiałowska (wyżej) i Janina Maciejewska** wzięły się za porządki w Izbie Muzealnej



**Kolejne zajęcia dla słuchaczy UTW. Dziś zaproponowano oglądanie filmów o Gubinie i dyskusję**

Gwizdalska, Waldemar Kleszcz, Krystyna i Andrzej Bronowscy, Grzegorz Bombicz, Marcin Bilicz, Zbigniew Bołoczko, Anna i Maciej Szymańscy, Piotr Chlebny, Witold Rogatka, Anna Cencora, Mariusz Kasowski, Urszula Kondracik, Michał Szymaniec - Zielona Góra, Stanisław Paszkowski, Stanisław Bilicz, Ryszard Podgórski, Jerzy Broda, Zygfryd Gwizdalski, Zbigniew Reiwer, Barbara Firlej, Ryszard Antczak, Przedsiębiorstwo Usług Miejskich Gubin, Edward Dobrochłop, Krzysztof Opala, Aleksandra i Stanisław Polakowie, Zenon Wójcik, Teresa i Zdzisław Matusiakowie, załoga FPU "Veralucas", Henryk Gawron, Zarząd Powiatu Krośnieńskiego, Burghard Schollmeyer, Andrzej Iwanicki, Zbigniew Poniatowski, Elżbieta Luczyńska, Elżbieta Żerko, Monika i Tadeusz Michtowie z Guben.

Pozostają z wyrazami należącego szacunku

*Prezes SPZG Stefan Pilaczyński*



Dziewczynki z Przedszkola Miejskiego nr 1 w Izbie Muzealnej zainteresowały się przede wszystkim wózkami z lat 50.

## Na szlaku natury



Opowiedz swoją historię poprzez zdjęcie, pokaż chwile z Twojego życia.

Muzeum Miasta i Przemysłu w Guben ogłasza konkurs zatytułowany "Na szlaku natury". W konkursie mogą wziąć udział osoby, które ukończyły 18 lat. Zdjęcia mogą być wykonane dowolnym aparatem fotograficznym, głównie liczą się pomysły kreatywne. Trzy najlepsze fotografie zostaną wyróżnione nagrodami. Termin składania prac upływa z dniem 30 czerwca 2012 roku. Przesyłane zdjęcia muszą mieć format nie mniejszy niż 10 x 15 cm, mogą być w formie papierowej, w rozszerzeniach jpg, bmp, gif lub na płycie CD. Można je przesyłać za pośrednictwem poczty e-mailowej: [stadt-und-industriemuseum@guben.de](mailto:stadt-und-industriemuseum@guben.de). Wielkość pliku nie może przekraczać 2 MB. Zdjęcia można także przynieść do Muzeum Miasta i Przemysłu w Guben, Gasstrasse nr 5, w godzinach otwarcia placówki. WAŻNE: zdjęcia muszą być wykonane w 2012 roku.

**W razie pytań prosimy dzwonić: tel. Guben 03561 6871 2100 lub zarezerwować na stronę: [www.museen-guben.de](http://www.museen-guben.de).**

(sp)



## Odnalezienie gubińskiego ołtarza

W Radomiu odnalazła się kwatery ołtarza głównego z kościoła farnego w Gubinie, który został zniszczony w czasie drugiej wojny światowej. Pozostały po nim tylko ruiny, niewiele przetrwało też z bogatego wnętrza. Ocalała kwatery ołtarzowa ma wymiary 154 x 154 cm, pochodzi prawdopodobnie z pierwszej połowy XV w. Obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, gdzie ołtarz trafił w 1946 r. Podarowali go radomscy harcerze, którzy



byli na obozie harcerskim i pomagali przy odgruzowywaniu Gubina. Podobno był całkowicie zasypany gruzami. Ocalał więc niemal cudem.

Ołtarz przeszedł gruntowną renowację 30 lat temu w warszawskich Pracowniach Konserwacji Zabytków. Jest w idealnym stanie. Ekspozowany był już na kilku wystawach jako przykład sztuki gotyku. Na razie nie ma możliwości, żeby sprowadzić ołtarz do Gubina i zapewnić mu odpowiednie, stałe miejsce ekspozycyjne, natomiast dyrekcja radomskiego muzeum nie widzi przeciwwskazań, by ołtarz pokazany został na wystawie czasowej w Gubinie.

*Na podstawie "Spotkania z zabytkami" listopad 2011*

## Zapraszamy na wystawę

Już dziś zapraszamy Państwa do obejrzenia wystawy, którą pokażemy podczas tegorocznej „Wiosny nad Nysą”. W podwórku, za budynkiem dawnego WDT, zaprezentujemy kilkadziesiąt fotografii pokazujących gubiniaków w latach 1955-1970. Warto nas odwiedzić i poszukać się na zdjęciach.

Zapraszamy!



Jerzy Czabator

## Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych

W biuletynie Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Gubińskiej "Gubin i okolice" Nr 2/13 z czerwca 2011 roku, w artykule pt. "Tropem dokumentów archiwalnych, eksponatów, dzieł kultury Ziemi Gubińskiej" informowałem czytelników o tym, że dla formacji Wojsk Polskich wkraczających na tereny przywrócone Polsce została opracowana Instrukcja dotycząca ochrony i zabezpieczenia zabytków wraz z wykazem, na jakie obiekty należy szczególną zwrócić uwagę.

Ze względu na niezwykle interesującą treść sugerowałem, że dobrze by było zapoznać czytelników z jej treścią, co za przyzwoleniem wydawcy biuletynu w tym numerze czynię.

Treść Instrukcji jest przejrzysta i dokładna, natomiast jak potoczyły się losy jej realizacji, pokazał czas.

Konsekwencją polityczną drugiej wojny światowej była zmiana granic państwowych w niektórych krajach środkowo-wschodnich Europy, związana z dążeniem do uzyskania możliwie jednolitej struktury narodowościowej. Okazała się ona głównym czynnikiem sprawczym gwałtownych przeobrażeń w zakresie istniejących dotychczas przestrzennych układów

etnicznych, które przybrały postać wielkich wędrówek ludności w okresie powojennym. W przypadku Polski oznaczało to wyrwanie wielomilionowej populacji stanowiącej blisko trzecią część ówczesnego społeczeństwa z dotychczasowego miejsca jej zamieszkania i przemieszczenia jej na nowe tereny, w głównej mierze ziemie dotychczas przynależne państwu niemieckiemu. Proces zasiedlenia tych ziem ludnością polską z terenów na wschód od linii Kurzona odbywał się jednocześnie z wysiedleniem ludności niemieckiej z tych terenów.

Jak potoczyły się losy wokół dziedzictwa kulturowego Ziemi Zachodnich i Północnych? Znalazły się one w sytuacji wyjątkowej, na taką skalę rzadko występującej - napływu jednej grupy etnicznej na tereny przeżyte kulturą i historią innej grupy, usuniętej i w dodatku postrzeganej jako zdecydowanie wroga. Od razu nasuwa się pytanie - jaką drogę obiorą przybysze? Destrukcyjną i deformującą przeszłość, czy kontynuowanie i ewentualne wzbogacenie zastanego dziedzictwa? Wybór określonej strategii z kolei mocno rzutuje na tożsa-

mość kulturową (narodową) nie tylko samych migrantów, ale całej grupy etnicznej, do której oni przynależą - może ona sprzyjać postawom ksenofobicznym lub otwartym na obce kultury i zarazem twórczym, otwierającym perspektywy na przyszłość. Wreszcie od tego, jaka strategia przeważy, zależy nie tylko stan ducha przybyszy, ale i stan stosunków z grupą etniczną, która musiała opuścić dany teren.

Pierwsza strategia automatycznie rodzi napięcia i zadrażnienia, żadna bowiem grupa etniczna nie pogodzi się z unicestwieniem lub przemilczaniem jej dorobku, tym bardziej gdy został on przyjęty przez obcych i znajduje się w ich rękach. Druga strategia stwarza przynajmniej szanse na jakieś porozumienie, choć jeszcze o niczym nie przesądza.

Problematyka jest niezwykle ciekawa i powinna być przedmiotem zainteresowania Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Gubińskiej.

Oczywistym jest to, że społeczeństwo polskie migrujące po 1945 roku na tereny odebrane Niemcom i zwane wówczas Ziemią Odzyskaną, zetknęło się z czymś obcym i nieznanym, obojętnie, czy był to krajobraz natury Karkonoszy, Ziemi Gubińskiej lub jezior mazurskich, architektura budowli miejskich, pomniki, książki niemieckie, wystrój mieszkań i wyposażenie gospodarstw wiejskich,

nazwy miejscowości i ulic, rzek, jezior i gór, czy w ogóle poznana historia regionu, miasta lub najzwyczajniej pałacu położonego w wiejskim parku. Wszystko to, choć w różnym stopniu, albowiem historycznym Wielkopolska to nie to samo, co Pomorze Zachodnie, poddane zostało degermanizacji, repolonizacji i najczęściej polonizacji.

Przemilczanie, bagatelizowanie lub deformowanie niemieckiej przeszłości na Ziemiach Zachodnich i Północnych być może początkowo miało jakiś sens psychologiczny, ale w dłuższej perspektywie czasowej był to zabieg nie tylko kłamliwy, ale społecznie fatalny, w rzeczywistości utrudniający prawdziwe i dojrzałe zakorzenienie na zasiedlonym terenie, naturalne porozumienie z niedawnym wrogiem.

Jak można żyć w mieście pełnym niemieckich zabytków i nie znać mniej lub bardziej pobieżnie ich pochodzenia, właściwych twórców i prawdziwej historii. Chodzić do kościoła, czasami o konstrukcji szachulcowej, z resztkami wystroju protestanckiego, surowego i z emporami, i udawać, że jest to coś swojskiego, takiego jak w okolicach Łucka, Sandomierza, Poznania nawet? Zresztą, czy istotnie udawano? Najczęściej prawdopodobnie o tym nie rozmawiano, nawet w rodzinnym gronie, i wcale nie dlatego, że ktoś ofi-

cialnie zakazywał. Taki stan rzeczy nie mógł trwać w nieskończoność, prędzej czy później musiał ulec rewizji. I rzeczywiście od kilkunastu lat narasta zainteresowanie właśnie niemiecką przeszłością Ziemi Zachodnich i Północnych oraz polskim stosunkiem do niemieckiej spuścizny kulturowej.

Na terenie Ziemi Gubińskiej w tym zakresie dużą rolę odgrywa Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Gubiń-

skiej. W interesie społeczności gubińskiej leży odkrywanie i rozwijanie tradycji lokalnych, związanych z historią regionu, miasta, poszczególnych obiektów oraz naturalnie wybitnych osobistości, które kształtowały krajobraz kulturowy na tych terenach.

Na podstawie: Dokument nr 1, Archiwum Akt Nowych, Warszawa - Ministerstwo Administracji Publicznej nr 2401, s.1-11

Poniżej instrukcja (pisownia oryginalna):

**Naczelną Dyrekcja Muzeów i Ochrony Zabytków**

**Lp. 357/45/**

**Warszawa, 23. marca 1945.**

**Do**

**Biura Ziemi Zachodnich w/m.**

Zgodnie z umową Ob. Wojciechowskiego z Dyr. dr Stanisławem Lorentzem przesyłamy w załączeniu instrukcję dla formacyj Wojsk Polskich, wkraczających na tereny przywrócone Polsce. Elaborat ten został zamówiony u Prof. dr Michała Walickiego, wraz z jego pomocnikami Dr Zdzisławem Kępińskim i mgr Krystyną Sroczyńską.

Naczelnny Dyrektor Muzeów i Ochrony Zabytków

*(Dr Piwocki Ksawery)*

**INSTRUKCJA**

**dla formacyj Wojsk Polskich wkraczających na tereny przywrócone  
Polsce**

**Dotyczy ochrony i zabezpieczenia zabytków.**

Na terenach między granicą zachodnią Polski w roku 1039, a rzekami Odrą i Niszą Łużycką oraz granicą Czechosłowacji formacje Wojsk Polskich

obejmują ochronę zabytków historii sztuki oraz zabezpieczają je przed zniszczeniem i rozgrabieniem, względnie usunięciem przez Niemców.

### **Co zabezpieczać?**

Zabytkami są przede wszystkim obiekty wymienione w załączonym wykazie szczegółowym, dalej zaś wszystkie archiwa, zbiory starych dokumentów i rękopisów, muzea wszystkich rodzajów.

W ramach organizacyjnych Resortu Kultury i Sztuki powstał organ centralny nazwany Naczelną Dyrekcją Muzeów i Ochrony Zabytków, który posiadał uprawnienia administracyjne, nadzorcze, wykonawcze i naukowe.

Biuro Ziem Zachodnich przy Prezydium Rady Ministrów zostało powołane w lutym 1945 r. Do głównych jego zadań należały przygotowanie projektu organizacji administracji oraz "przeprowadzenie planowego przesiedlenia ludności na tereny, które w wyniku wojny przechodzą do Polski". (Projekt organizacji Biura Ziem Zachodnich z 8 II 1945 r. Archiwum Akt Nowych, Warszawa - Ministerstwo Administracji Publicznej nr 2388). W załączonym wykazie dopisano w okrągłych nawiasach polskie nazwy miejscowości. Zamieszczone w kilku przypadkach w nawiasach kwadratowych były w oryginale.

Dzieła sztuki, jak stare obrazy, rzeźby (figury), monstrancje i kielichy kościelne, ornaty itp. meble stylowe, dywany, dawna porcelana i szkło. Zbroje i dawna broń.

Wykopaliska prehistoryczne, jak urny (nawet potłuczone skorupy), broń i narzędzia przedhistoryczne z kamienia, brązu i żelaza.

Biblioteki i księgozbiory prywatne i kościelne (zwłaszcza kościelne księgi ozdobione malowidłami)

Zabytkowe budowle, jak zamki, kościoły, pałace, ratusze.

Dawne instrumenty muzyczne.

W szczególności zabytki przedhistoryczne jako ważne dla wyświeślenia kwestji osadnictwa słowiańsko-polskiego na tych ziemiach przed zaborem germańskim winne być przedmiotem najtroskliwszej opieki ze strony Wojsk Polskich. Również starym figurom świętych (pochodzącym z kościołów) rzeźbionych w drzewie i malowanym lub złożonym, oraz starym obrazom (często na deskach) zwłaszcza pochodzącym z kościołów należy się szczególna dbałość. Zwracać uwagę na budynki teatrów i sale koncertowe i starać się uchronić przed zniszczeniem ich urządzenia i wyposażenie.

### **Gdzie szukać obiektów zabytkowych podlegających zabezpieczeniu?**

We wszystkich miejscowościach (miastach) niezależnie od załączonego wykazu szczegółowego dopytywać się o: muzea (Museen), archiwa akt dawnych (Archive alter Akten), biblioteki naukowe (Wissenschaftliche Bibliotheken), prywatne zbiory sztuki (Private Kunstsammlungen), antykwiariaty dzieł sztuki (Kunstantikvariate) i znajdujące się w nich zbiory zabezpieczać. Zwracać wszędzie uwagę na kościoły, postępując według poniżej określonych wytycznych (patrz "Sposób zabezpieczenia - kościoły"). Zwracać uwagę na dwory, pałace i rezydencje wiejskie i zabezpieczać znajdujące się tam bardzo często stare obrazy, biblioteki, starą broń, meble stylowe, dywany, stare srebra, szkła, porcelanę.

W miarę możliwości (przy okazji rewizji, szukania kwater itd.) sprawdzać mieszkania profesorów, doktorów, inżynierów, artystów, bogatych obywateli i zabezpieczać znajdujące się tam zwłaszcza księgozbiory (we Wrocławiu, Gdańsku itd.)

Zwracać uwagę na dworce, zwłaszcza towarowe i na bocznicę kolejowe, oraz na składy towarzystw transportowych (spedycyjnych) przy dworcach i na mieście. Przez wytypowanie personelu kolei oraz sprawdzanie napisów na wagonach i bagażach wyszukiwać rzeczy zabytkowe przygotowane przez Niemców do wywiezienia. Przesyłki tego rodzaju mogły iść również z terenów polskich. Bezwzględnie przyjmować wszystkie przesyłki i bagaże, na których jako miejsce skierowania (adres) lub miejsce pochodzenia zaznaczono w napisie "muzeum" ("Museum") np. "Kaiser-Friedrich-Museum" Berlin, "Prowincjałmuseum" Stettin lub tp. Spakowane w skrzynię itp. dzieła sztuki lub księgozbiory itd. mogą się znajdować również w schronach przeciwlotniczych, lub być porzucone w drodze. Należy więc dopytywać wszędzie o porzucone w ucieczce przez Niemców bagaże.

### **A. Sposób zabezpieczenia**

Budynki które załączony wykaz poleca opiece Wojsk Polskich jako zabytki lub jako ważne obiekty kulturalne, zabezpieczyć przed skutkami uszkodzeń wojennych, a to w pierwszym rzędzie przez naprawę dachów dalej przez naprawę wybitych w murach dziur i ewent. jeżeli to możliwe przez oszklenie lub zabicie otworów okiennych dla zapobieżenia zaciekania wody i uniemożliwienia dostępu dla osób niepowołanych. Do wykonania tych prac użyć miejscowych Niemców lub jeńców i materiał brać jaki jest pod ręką. Dachy załatać choćby deskami. Podobnie można choćby deskami zabić otwory w murach.

## **Tworzenie punktów zbiorczych dla zabytków przenośnych**

Ponieważ stałe czuwanie nad rozrzuconymi po licznych miejscowościach i miejscach obrazami, książkami, figurami itd. itd. jest niemożliwe należy dla zabytków ruchomych potworzyć szereg punktów zbiorczych i tam je składać. Wykaz głównych i pomniejszych punktów zbiorczych tj. miejsc w zasadzie odpowiednich dla ich utworzenia zostaje dołączony do instrukcji niniejszej. Poza tym na punkty zbiorcze obrócić można budynki lub lokalne niezamieszkałe (najlepiej dawne muzea lub budynki publiczne jak sale teatrów lub kin.), o ile istnieje możliwość wystawienia bezwzględnie stałej warty Wojsk Polskich. Nie tworzyć punktów zbiorczych tam, gdzie pobyt Wojsk Polskich może być choćby czasowo przerwany. Przy zmianie jednostek przekazać placówkę zabezpieczenia zabytków jednostce WP obejmującej służbę w danej miejscowości. W wypadku nagłego i nieprzewidzianego odwołania oddziału, przekazać placówkę zbiorczą miejscowej władzy administracji cywilnej jeśli taka istnieje, powierzając je osobom o nieposzlakowanej polskości i uczciwości. Punkty zbiorcze powinny się znajdować w pomieszczeniach niedostępnych bez ze-zwolenia władz wojskowych polskich. Punkt zbiorczy zabytków powinien o ile możliwości posiadać magazyniera (podoficera WP) dysponującego pomocnikami niemieckimi do zbijania skrzyń i odpowiednim materiałem drzewnym. Przyjmując przywożony materiał zabytkowy, magazynier byłby obowiązany, w wypadku gdy zabytki są niespakowane w skrzyniach, umieścić je w skrzyniach zawczasu przygotowanych lub specjalnie na ten cel zbitych na miarę zabytków oraz zaopatrzyć skrzynie w napisy z nazwą miejscowości oraz ewent. nazwiskiem posiadacza jeśli można ustalić. Wiedząc skąd zabytki pochodzą, dojść można do dalszych ukrytych zbiorów. W żadnym wypadku nie umieszczać przedmiotów pochodzących z różnych miejscowości w jednej skrzyni, chyba że przedmioty posiadają trwale przyklejone, z odpowiednimi napisami. Książki nie wymagają napisów z nazwą miejscowości. Wszystkie przedmioty w punkcie zbiorczym zabytków powinny być spakowane w skrzyniach.

O utworzeniu punktu zbiorczego zabytków należy zaraportować władzom WP, które z kolei zawiadomią o miejscach zorganizowania punktów Naczelną Dyрекcyję Muzeów i Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

## **Muzea, większe archiwa i większe biblioteki**

którym nie można przydzielić stałej warty WP, a których zbiory nie dadzą się przewieźć do punktów zbiorczych powinny dostać ochronę w postaci za-blokowania dostępu i częstego patrolowania lotnego.

Wszystkie zabezpieczone obiekty zaopatrzyć w napisy w jęz. polskim i rosyjskim: Ten dom i znajdujące się w nim przedmioty zostały przejęte przez Wojsko Polskie do dyspozycji Naczelnego Dowództwa.

Przy przewożeniu zbiorów z Muzeów do punktów zbiorczych zawsze zabierać katalogi zabytków tj. katalogi kartkowe lub lepiej księgi inwentarzo-we muzeów (informacji udzieli ew. dawny personel muzeów). Zresztą wszędzie starannie zabezpieczać katalogi.

Odszukać dawnych pracowników muzeum i zabezpieczyć ich w dowolny sposób na miejscu, lub na punkcie zbiorczym, gdyż wyjaśnienia przez nich udzielone mogą mieć duże znaczenie dla władz organizacyjno-naukowych polskich. Przez zasięgnięcie języka na miejscu ustalić czy nie wywieziono z danych zbiorów jakiejś partii materiału zabytkowego w głąb Rzeszy; jeżeli tak - to dokąd. Zanotować to starannie wraz z nazwiskami i adresami osób, które udzieliły, lub mogą udzielić odpowiednich informacji. Podobnie wywieźć się o miejscowych właścicieli zbiorów sztuki prehistorycznych itd. Ustalić listę obecnych i osobno nieobecnych pracowników muzeum, archiwum i biblioteki itd. z adresami lub z uwagą: "Zabezpieczony w areszcie ochronnym tam i tam".

### **Kościoly.**

Budynki zabezpieczyć przez zarządzenie i dopilnowanie najkonieczniejszych napraw.

Tam, gdzie istnieje proboszcz (katolicki, lub ewangelicki) względnie inny czynnik administracji kościelnej powierzyć jego pieczy troskę o zachowanie zabytków ruchomych, zwracając mu uwagę, że Rząd Polski posiada już od dawna sporządzone spisy inwentarzy tamtejszych kościołów i czyni go odpowiedzialnym za przechowanie monstrancji, kielichów, ornatów, rzeźb i obrazów, oraz ksiąg kościelnych w komplecie.

Gdy kościół jest pozbawiony nadzoru duchowieństwa przewieźć stare figury, wota, kielichy, monstrancje i inne kosztowne aparaty kościelne oraz ornaty, kapy, stare dokumenty, księgi i rękopisy (zwłaszcza z malowanymi zdobami) do punktów zbiorczych spakowawszy do skrzyń z napisem miejscowości i nazwą kościoła (wezwaniam), lub przynajmniej trwale przymocowaną kartką tekturową, lub drewnianą z odpowiednim napisem. Pakować tak, aby się nie potłukły, owijać.

W dworach, pałacach, i mieszkaniach prywatnych, antykwariatach itd., przedmioty opakować jak wyżej i przewieźć do punktów zbiorczych.



### **Uwaga ogólna do zasad zabezpieczania.**

Przedmiotów, lub całych zbiorów, które nie mają pozostać na miejscu i muszą być odesłane do punktów zbiorczych, lub do Centrali Zbiorczej Zabytków w Warszawie, Muzeum Narodowe, Aleja 3-Maja 13 w żadnym wypadku nie wysyłać pocztą lub frachtem kolejowym nawet za asekuracją pieniężną. Przedmioty te wolno przesyłać tylko pod konwojem Wojsk Polskich.

Jeżeli ani przewiezienie do bezpiecznych punktów zbiorczych, ani przydzielenie stałej warty na miejscu nie jest możliwe, należy po starannym zapakowaniu przedmiotów w skrzynie i zaplombowaniu względnie opieczętowaniu zarówno skrzyń, jak i lokalu, w którym zostaną złożone - powierzyć nadzór nad pozostawionym zbiorem przedstawicielowi miejscowej władzy administracyjnej polskiej (o ile możliwości z wydziału kultury, lub z nauczycielstwa) względnie nawet miejscowemu niepodajeżranemu Niemcowi, uświadamiając osoby, której się zbiory powierza o najsurowszej odpowiedzialności za ich całość. Należy też pozostawić odpowiednie napisy z pieczęciami na lokalach i w rękach osoby nadzorującej. Nazwisko owej osoby należy starannie zanotować wraz z adresem i zadepeszować o takim załatwieniu do Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wydział Rewindykacji w Warszawie.

### **Jakie prowadzić ewidencje i notatki i o czym donosić zaraz Ministerstwu Kultury i Sztuki.**

Prowadzić ściśle ewidencję (zapisy) wszystkich zabezpieczonych obiektów. W ewidencji zaznaczyć: adres i rodzaj przedmiotów zabezpieczonych, sposób zabezpieczenia, nazwisko i adres osoby, której powierzono nadzór, nazwiska i adresy dawnych pracowników, muzeum, lub archiwum, oraz nazwisko zabezpieczającego z podaniem formacji. Notować każdy punkt zabezpieczony i każdy punkt z którego zabrano lub gdzie znaleziono jakies przedmioty podlegające zabezpieczeniu.

Powyżej podane wykazy przesyłać drogą służbową do Ministerstwa Kultury i Sztuki możliwie często.

Zabezpieczenie lub ujęcie obiektów wymienionych w wykazie szczegółowym lub innych ważnych komunikować natychmiast depeszą do Min. Kultury i Sztuki, Wydział Rewindykacji w Warszawie, z uwzględnieniem tych samych wszystkich danych, co w ewidencji stałej.

Podczas uważnego spaceru po historycznej starówce natrafiamy nie tylko na pozostałości dawnych budynków oraz infrastruktury technicznej, lecz również na ślady obiektów, których powstanie determinowała wyłącznie polityka. Niedługo należał do nich Pomnik Dwóch Cesarzy, zwany też Studnią Dwóch Cesarzy, który do roku 1937 zdobił rynek miejski przy dawnym Głównym kościele miejskim, czyli dzisiejszym gubińskim kościele farnym. Trudno jednak nie wspomnieć o walorach architektoniczno-artystycznych pomnika i jego losie tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej.

## Jeden pomnik dla dwóch cesarzy

Gdyby zachował się do dziś, 30 października skończyłby 112 lat. Odślonięto go 30 października 1898 roku na rynku miejskim jako Pomnik Dwóch Cesarzy - Wilhelma I oraz Fryderyka III. Był to bardzo uroczysty dzień. Zorganizowano wielki korowód, któremu towarzyszyły odświętne przemówienia.

W ówczesnych cesarskich Niemczech takie wydarzenia nie były rzadkością. Należało do nich między innymi oddanie do użytku Wieży Bismarcka, której pozostałości można dziś znaleźć na zachodnim stoku wzgórza powyżej kotłowni przy dzisiejszej ulicy Tobruk.

Pomnik na rynku miejskim, autorstwa berlińskiego architekta Paula Kieschke, przypominał studnię. Jego całkowita wysokość wynosiła 18,6 m. Do budowy użyto granitu górskiego, dającego się polerować sjenitu (rodzaj skały głębinowej), czerwonego piaskowca z okolicy rzeki Men oraz elementy z rozmaitych metali, które nadały mu kształt figuralny.

Część szczytową zdobiły elementy gotyckie. Po stronie wschodniej i zachodniej znajdowały się jakby studzienne niecki, do których z lwich głów tryskała woda. Po stronie południowej umieszczono tablicę pamiątkową ku czci wspomnianych poniżej cesarzy.

Powstał w dziesiątą rocznicę śmierci Wilhelma I, współzałożyciela II Rzeszy Niemieckiej w roku 1871, oraz jego syna Fryderyka III, który w tym samym, 1888 roku, zmarł na raka. Jednocześnie na tron wstąpił 29-letni Wilhelm II, co sprawiło, że ów rok 1888 przeszedł do historii Niemiec jako "Rok Trzech Cesarzy".

W roku 1937 pomnik rozebrano, a brązową reliefową płytę z wizerunkiem obydwu cesarzy umieszczono na wschodniej ścianie ratuszowej wieży.

Wydarzenia w dniu odsłonięcia pomnika szczegółowo opisano w ośmioszpaltowym artykule ówczesnej "Gubener Zeitung" ("Gazeta Gubeńska"). Uroczystość rozpoczął wiersz wiernego Rzeszy liryka Ernsta von Wildenbrucha "Wielkie czasy Nie-

mieć", ukształtowane przez "królów i bohaterów". Następnie przez miasto przeszedł wielki korowód 46 stowarzyszeń żołnierskich z miasta i okolic, stowarzyszeń strzeleckich, starszych klas gimnazjalnych, grup śpiewaczych, cechów rzemieślniczych, a także innych miejscowych stowarzyszeń i górników, w odświętnych strojach.

Uroczystej inauguracji dokonał gubeński nadpaster D. Werner. Po nim przemawiał starosta książę Heinrich zu Schoenaich-Carolath. Przypominał bitwy pod Königraetz, Spichern, Metz i Sedanem oraz o powrocie Alzacji i Lotaryngii do Niemiec. Mówił, "co zdoła sprawić niemieckie męstwo, niemiecka wierność obowiązkom i radosne poświęcenie się aż do śmierci".

Współcześni polscy i niemieccy odbiorcy tych słów mogą bez trudu, ale też nie bez negatywnych emocji, dostrzec szokujące podobieństwo do treści, które w roku 1914 i po 1933 na zawsze odmieniły Niemcy i świat.

W roku 1937 miasto rozebrało pomnik na życzenie NSDAP. Wyda-



**Studnia Dwóch Cesarzy na rynku miejskim, po której dziś nie ma śladu**

wać by się mogło, że nowy system zechce pozostawić go dla potomnych, gdyż dokonania tych cesarzy spełniały wymogi "wielkoniemieckości", na których miała bazować przyszła polityka Niemiec. Powód rozbiórki był szokujący - przeszkadzał w większych manifestacjach na rynku miejskim.

*Na podst. "Heimatbrief" (List Regionalny) 2/2004, 1 1/2009 i 1/2009. Oprac. KF*

## Miasto nad Nysą podczas II wojny światowej

Era nacjonalizmu socjalistycznego była po światowym kryzysie lat 1929-1932 czasem gwałtownego wzrostu gospodarczego, przy czym wkrótce po 1933 roku atmosfera przygotowań do wojny nasiliła faszystowski reżim. Po rozpoczęciu II wojny światowej kryteria ważności kierunków produkcji spowodowały całkowite przestawienie zakładów pracy na produkcję na potrzeby wojny, niszcząc tradycyjny kierunek produkcji gubeńskich zakładów pracy. Wytwarzanie kapeluszy i tkanin stało się marginalne. Cały personel przesunięto do produkcji na potrzeby zbrojeniowe. Po wcieleniu mężczyzn do wojska obsadę personalną uzupełniały kobiety i sprowadzeni do robót przymusowych z podbitych ziem oraz jeńcy wzięci do niewoli.

Już w 1935 powstały na północy miasta koszary Moltke'go. Powstałe w 1929 roku lotnisko dla potrzeb sportowych i transportowych przekształcono w lotnisko wojskowe, wybudowano też w tym celu budynki. Na terenie Komorowa powstał kolejny kompleks koszarowy dla piechoty (29 regiment Wehrmachtu)). Regiment ten brał udział w napaści na Polskę 1 września 1939 r. Regiment zajął koszary w 1938 roku (III batalion stacjonował jednak już od 1935 r.). Dowódcą tej jednostki został generał major von Hase. Paul Von Hase został oskarżony o udział w nieudanym zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku, skazany i zamordowany.

Na południu miasta powstała firma Rheinmetal-Borsig AG Düsseldorf. W 1940 roku rozpoczęła produkcję broni palnej i części do dział przeciwlotniczych. W tych i innych zakładach produkujących dla wojska zatrudniano polskich, francuskich, a później rosyjskich robotników przymusowych, częściowo będących pod stałym nadzorem, stosowanym szczególnie wobec rosyjskich pracowników, zmuszanych do prac niewolniczych, jak i jeńców wojennych.

W związku ze zbliżającym się frontem, 6 lutego 1946 zmuszono ludność cywilną do ewakuacji z miasta, które miało się stać na rozkaz Hitlera twierdzą obronną służącą zatrzymaniu nacierających wojsk rosyjskich. Już kilka tygodni wcześniej gubenie widzieli liczne wozy uciekinierów z różnych okolic kraju, przejeżdżające przez miasto. Była to zapowiedź czekającego ich jutra. Machina wojenna zatrzymała się na przedmieściach Guben - los jego mieszkańców stał się losem uciekinierów. Pod koniec wojny, podczas dziewięciodniowych walk (od 19 lutego do 24 kwietnia 1945) mia-

sto przeżyło gehennę i poniosło katastrofalne straty. Prawie 90 procent historycznego centrum stało się gruzowiskiem. Po stronie zachodniej straty w postaci zniszczonych budynków wyniosły ok. 20 procent. Dotyczyło to w zasadzie Frankfurter Straße, Dreieck, Bahnhofstraße, Brandenburgische Straße i licznych zakładów przemysłowych.

*"Die Neissestadt im 2. Weltkrieg" artykuł ze "Stadt Guben Informationsbroschüre" Stadtbuchverlag 1997, s.6, oprac. wł, tłum. Z. Gwizdalski*

## Herb miasta Guben

W średniowieczu miasta dbały o swoje oznakowanie nie tylko na murach i bramach wjazdowych do grodów, ale i na zewnątrz. Na znakach umieszczano czasem zwierzęta czy rzadkie zjawiska, np. przyrody, występujące na danym terenie. Ten znak umieszczano też w herbach miasta Guben. Widoczne są trzy bramy (Klasztorna, Krośnińska, Ostrowska) z trzema wrotami wjazdowymi. Uwagę zwraca szczególnie brama środkowa, która w przeciwieństwie do dwóch bocznych jest otwarta i z podniesioną kratownicą. Wieża środkowa ozdobiona połączoną koroną. Przytwierdzone do wież tarcze oznaczają historyczną przynależność miasta. O przynależności (panowaniu) do Czech świadczy srebrny lew środ-

kowej wieży. Prawie 200-letnią przynależność do Saksonii odzwierciedla ukośny wieńiec lewej wieży.

Czarny pruski orzeł świadczy o tym, że Guben od 1815 r. podlegał Prusom (królestwu pruskiemu). Niejedno więc można o ponad 770-letniej historii miasta wyczytać z herbu.

Zmiany władców, którym miasto podlegało, łączą się ze wzlotami i upadkiem miasta, aż do drugiej wojny światowej, która spowodowała największą katastrofę Gubina, odczuwalną aż do dziś.

*Na podst. Aus dem Buch  
„Guben - Perle der Niederlausitz”,  
tłum. Z. Gwizdalski*



**IZBA MUZEALNA**

Zaprasza w: poniedziałek-środek-głazek w godz. 10-15

Inne terminy i godziny odwiedzin do uzgodnienia na tel. 68 455 81 62

**STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ ZIEMI GUBIŃSKIEJ**

## Malowniczy budynek urzędu

Prezentowane zdjęcie może pochodzić z roku 1910-1914, ponieważ w "Przewodniku po Gubinie" Karla Gandera z 1914 roku fotografia ta już istnieje. 10 maja 1893 roku położono kamień węgiel-



ny pod powstający budynek dla starosty. Najpierw był to numer 17, potem 44/46 (obecnie nr 24). Rada powiatowa przyznała na budowę 97.000 marek. Burmistrzem Guben był w tym czasie Paul Bollmann. W październiku 1894 roku ukończono budowę i oddano do użytku. Architektami budynku byli Lassow i Kühne z Drezna. Od tego dnia była to siedziba władzy powiatowej i starosty. Ponadto w budynku znalazła siedzibę Rada Powiatu i Powiatowa Kasa Oszczędnościowa. Kasa wyprowadziła się do nowo wybudowanego obiektu przy ul. Piastowskiej 8, w którym dziś także mieści się jako bank. Od 1910 do 1920 roku starostą był Detlef Graf von Leventlow, który na terenie budynku miał swoje mieszkanie. Ostatnim starostą (do lutego 1945) był dr Ernst Koempfe. Był piątym starostą mieszkającym w tym budynku.

Po zakończeniu wojny w 1945 roku przez krótki czas w budynku siedzibę miało starostwo powiatowe. Tu mieścił się także pierwszy po wojnie urząd pocztowy (niewielkie pomieszczenie odstąpione poczcie). Po likwidacji powiatu budynek zajął urząd miejski. Na przestrzeni lat był siedzibą burmistrza, przewodniczącego miejskiej rady narodowej, naczelnika miasta i od 1990 roku znowu burmistrza. Obecny burmistrz Bartłomiej Bartczak jest 13 burmistrzem i 18 głową miasta po 1945 roku. Budynek w latach 2009-2010 przeszedł gruntowny remont. Teraz planuje się odnowienie fasady budynku.

**Niedawno wpadło mi w ręce ksero artykułu z rubryki Guben - Geschichte, który Gerhard Gunia przedstawił w czasopiśmie Lausitzer Rundschau 17 marca 2001 (s.17).**

## **O sporcie robotniczym w Guben**

Są to wspomnienia o przedmieściu Gubina - Kikebusch, obecnie teren za skrzyżowaniem ul. Kaliskiej i ul. Łąkowej, po lewej stronie jadąc, w kierunku Żenichowa. Tam, na zaniedbanym boisku piłkarskim mecze rozgrywał Żenisz Żenichów.

W maju 1913 organ SPD "Märkische Volksstimme" notką zaprosił do udziału w uroczystości otwarcia placu gimnastyki, gier i zabaw na terenie folwarku Kiekebusch przez Freie Turnerschaft Guben und Umgegend. W programie przewidziano pochód, pokazy gimnastyczne i mecze. Wieczorem bale w lokalach "Goldener Anker" (Złota Kotwica) i "Volksgarten" (Ogród Ludowy). Był to początek znaczącego zainteresowania i wzrostu robotniczego ruchu sportowego przy Bösitzer Straße, który w latach Republiki Weimarskiej wykazał się dużą aktywnością. Związki robotnicze zakładów organizowały czas wolny z miejscowymi klubami sportowymi, np. z Gubener Ruderklub 1905 (Gubeński Klub Wioślarski 1905), Tennis-Club 1922 (Klub Tenisowy 1922) lub Fechtbund "Franko-Teutonia" (Związek Szermierczy "Franko-Teutonia").

W trosce o kształcenie i rozwój sportowy wszystkie gubeńskie kluby organizowały własne przedstawienia, święta i zawody. I tak każdego roku organizowano na Kiekebusch Krajowy Dzień Sportu, odbywały się także wyścigi rowerowe Arbeiter-Radfahrbundes "Solidarität" (Robotniczy Związek Rowerowy "Solidarność"), mecze piłki nożnej z udziałem drużyny zakładów Putiłowa(!) z Leningradu.

Godnym podkreślenia - zaznacza historyk G. Gunia - jest fakt, że udział w zawodach brali zarówno członkowie SPD (Socjaldemokratyczna Partia Niemiec), jak i KPD (Komunistyczna Partia Niemiec). Działali wspólnie, ale też, niestety, zwalczały się. Powstająca NSDAP (Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników, niemiecka partia faszystowska) na tym tylko korzystała.

Po 1933 r. rozwiązano gubeńskie robotnicze kluby sportowe, zakazano ich istnienia. Powstały ogólnoniemieckie związki sportowe gimnastyków (DRL). Hale i boiska sportowe przekazano ogólnoniemieckiemu ruchowi

sportowemu.

Czy i jakie zawody po 1933 r. w Kiekebusch odbywały się, panu Guni nie udało się ustalić. Prawdopodobnie żyją jeszcze w Gubien i okolicy osoby, które mogłyby przybliżyć czy uzupełnić informacje na ten temat (np. Heimatkalender 1985: Kurt Kabel - Erinnerungen eines Arbeitersportlers, czyli Wspomnienia sportowca robotniczego).



**Zdjęcie części Kiekebusch wykonane 28 stycznia 2012 nie przypomina pięknego, przedwojennego miejsca, które można było zobaczyć na pocztówce z 1930 roku. Teren zaniedbany, "nie czuć" właściciela, wszędzie śmieci. Napotkana przypadkowo nauczycielka z ironią skomentowała: - *Już wiem, dlaczego zamykają wysypisko śmieci w Drzeńsku. Będzie chyba tutaj między Gubinem a Żenichowem, bo sporo już śmieci zgromadzono.***

Zwiedzającego pod koniec XX. wieku park witał wysokimi dębami i świadkami dawnej restauracji, dwiema rozpadającymi się kolumnami (filarami) dawnej bramy wjazdowej. Atmosfera niestety zanikła, pozostały wspomnienia - zakończył Gerhard Gunia. (wł)

### Od autora

Kilka lat temu o ww. miejscu przy ul. Łąkowej napisałem w "Alfabecie gubińskich ulic": *Po lewej stronie, przed wojną, funkcjonował ładny obiekt sportowy z boiskami* - poinformował Piotr Poklepa, a Jerzy Czabator uzupełnił: *- Jeszcze w latach 50. XX wieku, w tym kompleksie stał budynek hotelu i restauracji, kort, boisko do piłki nożnej i siatkówki. Odbywały się tu imprezy powiatowe, takie jak dożynki, gdy Gubin był powiatem, oraz rozgrywano mecze piłki nożnej.*

Na mapie z 1939 r. zaznaczony jest plac sportowy z dwoma boiskami, a przy nim, od strony Gubina, restauracja Kiekebusch (wtedy posesja z nr. 5). Właścicielem restauracji w stylu dworku był Gustav Schwensky. Kiekebusch - Gubien w 1930 r. reklamowano na pocztówce jako miejscowość wycieczkową.

Przedwojenna nazwa ulicy Łąkowej to Kiekebusch, jeszcze wcześniej Feld Weg.



**Kazimierz Ostrowski - Gubin**  
**IV Konkurs Literacki „O Złote Pióro” 2001 r.**

## **Wspomnienia o rozwoju komunikacji samochodowej w Gubinie po II wojnie światowej**

Minęło 55 lat od tego czasu, kiedy miasto Gubin znalazło się w rękach władz polskich. W tym okresie długiego czasu miasto nasze przeżywało różne zmiany w swym rozwoju i upadku.

O takim jednym, rozwojowym gospodarczym przypadku, chcę napisać w kilku zdaniach. O Gubinie już wiele powiedziano, wiele napisano. Są i tacy, co w pieśniach wysławiają nasze ukochane miasto O Gubinie można przeczytać w prasie lokalnej, regionalnej, a nawet zdarza się, że gazety centralne piszą o nas. Często o Gubinie i jego mieszkańcach można usłyszeć w radio, a nawet zobaczyć w telewizji. Są i tacy, co opiewają swoje miasto w swoich ksiązkach, w poezji i w prozie.

Chwała tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób promują nasze miasto. Gubin ma swoje specyficzne miejsce usytuowania. Leży na rubieży państwa, na granicy polsko-niemieckiej, rozdzielone rzeką Nysą Łużycką. Miasto, które szybko integruje się z zachodnią częścią miasta - Guben, z Niemcami.

O Gubinie można by było mówić wiele i bez przerwy. I chociażby "zjadł beczkę soli", to i tak wszystkiego nie opowiesz, nie opiszesz. Temat - rzeka. Tematem mojego opowiadania jest Zajezdnia Autobusowa w Gubinie, jej powstawanie, praca, rozwój w makabrycznych warunkach przed powstaniem, czyli wybudowaniem Dworca Autobusowego w Gubinie.

Opowiadanie swoje zaczynam od "Przysłowia są mądrością narodów". Powiadają, że jest to chińskie przysłowie. Jak dotychczas, nie znalazłem na to potwierdzenia. Być może? Ale, że "Polacy nie gęsi i swój język mają" to jestem tego pewny, że jest to przysłowie polskie.

Wprowadzenie do opowiadania pytającego przysłowia, na jakie napotykamy się poniżej, uważałem uznać za trafne. Wielu przepytanych mieszkańców naszego grodu, pasażerów i pracowników Państwowej Komunikacji Samochodowej w Gubinie, po prostu nie wie, nie pamięta, aby prawidłowo odpowiedzieć na pytanie w przysłowiu: "Konia z rzędem temu, kto..."

My, Polacy, mamy swoje polskie anegdoty i przysłowia różnego rodzaju. Nie mam możliwości i zamiaru katalogować ich, bowiem jest ich tak wiele, że nie sposób wszystkie zapamiętać.

Jedno z nich jednak przytoczę w moim opowiadaniu, gdyż sytuacja tego wymaga, by dać czytelnikowi możliwość zastanowienia się lub poszukać w pamięci, co pozostało z tego okresu.

A oto i przysłowie:

„Konia z rzędem temu, kto pamięta, kiedy w Gubinie, po wojnie pokazał się pierwszy autobus?”

Ja, piszący swoje wspomnienie, intensywnie próbowałem penetrować to zagadnienie, ale nie w pełni mi się to udało. Nie mniej jednak coś niecoś znalazłem, jaki był tego początek.

Pod koniec lata 1946 roku zostaje powołana "Ekspozytura" Państwowej Komunikacji Samochodowej w Zielonej Górze, podlegała Zarządowi PKS w Poznaniu. Pierwszym kierownikiem "Ekspozytury" był. A. Czajkowski oraz pracownicy umysłowi: Krasucki, Sawicki i Kobuszewska.

Ponadto stworzono załogę z osiemdziesięciu czterech pracowników, głównie kierowców i konduktorów. Pierwszym kierownikiem komunikacji PKS w Zielonej Górze był B. Kubala, który uruchomił przede wszystkim Komunikację Miejską w Zielonej Górze.

Później pomyślano o komunikacji międzymiastowej w miarę zdobywania autobusów z różnych "cmentarzysk samochodowych", które ściągano i remontowano.

Pierwszym kierowcą w Zielonej Górze, który wyjechał w trasę, był Aleksy Stołpiak.

„Miałem dość dobry autobus marki "Krup", którym jeździłem na wyznaczonych trasach” - wspomina A. Stołpiak. „14 grudnia 1948 r. pojechałem wyznaczoną linią do Poznania. Tam odebrano mi mój autobus. W zamian przydzielono mi grata firmy "Ford". Nikt nie wie, ile kosztowało mnie to poníženie, ale takie to były czasy. Po jakimś czasie otrzymałem autobus "Leiland". Na tym "Leilandzie" zrobiłem milion trzysta tysięcy kilometrów. Jeździłem na nim do wiosny 1959 roku" (nie do uwierzenia).

"Pierwszą regularną linią autobusową, którą zainaugurowałem przewozy pasażerskie na tereny zachodnie województwa poznańskiego, była trasa Zielona Góra - Gubin - Lubsko". Stołpiak nie podaje ani dnia, ani miesiąca wykonania tego zadania. Wspomina natomiast, że poniemiecki grat "Krup" trzeszczał w szwach. Skoro A. Stołpiak zrobił tę trasę do Gubina autobusem

"Krupa", to musiało to być przed 14 grudnia 1948 roku. Tę datę jestem zmuszony przyjąć jako pierwszy autobus w Gubinie.

Wiadomości te, jak widzimy, są mizerne.

Ale tylko tyle mogłem ustalić na podstawie skromnego albumu "Kronika", spisane go w tamtych czasach przez działaczy wymienionych tu z nazwiska, szczególnie Aleksego Stołpiaka, nazwanego "kronikarzem".

Pisząc te strofy, odnoszę wrażenie, że jeszcze długo nie znajdę odpowiedzi na postawione pytanie: od kiedy w Gubinie pokazał się pierwszy autobus, od kiedy w Gubinie podjęta została regularna linia międzymiastowa PKS.

Skoro sam nie jestem w stanie dojść do daty, to ja też nie zasługuję na "konia z rzędem". Mam nadzieję, że ktoś z gubinian pamięta i mnie poprawi, za co mu będę bardzo wdzięczny.

Wracając jeszcze do tematu, to pamiętam, że pod koniec lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych zaczęto wprowadzać coraz więcej linii międzymiastowych, jak : Gubin - Krosno, Gubin - Lubsko, Gubin - Żary, Gubin - Zielona Góra.

1 kwietnia 1964 roku został oddany do eksploatacji nowy dworzec autobusowy w Zielonej Górze. W tymże dniu powstała samodzielna jednostka prawna Dyrekcja I Oddziału Przewozów Pasażerskich Państwowej Komunikacji Samochodowej w Zielonej Górze.

Na początku lat sześćdziesiątych nie było jeszcze w Gubinie samodzielnej zajezdni autobusowej. Te kilka autobusów, które były skierowane do Gubina, należały do Bazy Transportowej Wozów Ciężarowych Państwowej Komunikacji Samochodowej w Gubinie, która mieściła się na rogu ulic Śląskiej i Kołłątaja.

Zapotrzebowanie na autobusy rosło z dnia na dzień. Uruchomione kilka lat wcześniej gubińskie zakłady przemysłowe, przede wszystkim Zakłady Obuwia "Carina" i Odzieżowe "Goflan", zatrudniały coraz więcej robotników. Zachodziła potrzeba uruchomienia nowych miejscowych linii, jak Gubin - Chlebowo, Gubin - Grochów, Gubin - Strzegów oraz Lubsko i Krosno Odrzańskie. Zaś na początku lat siedemdziesiątych "Carina" i "Goflan" zawarły specjalne umowy z Dyrekcją PKS w Zielonej Górze o stały dowóz pracowników z dalszych miejscowości, jak Trzebiel, Jasień, Rybaki i Maszewo. Akcja ta nazywała się Przewozy Pracownicze. Uzgodnione w umowach autobusy musiały być podstawione na czas pod bramę przedsiębiorstwa.

Obowiązek wywiązywania się z podpisanych umów całkowicie spadał na

nowo utworzoną zajezdnię autobusową w Gubinie, która umiejscowiła się przy ulicy Chopina na powojennych gruzach, przy dwóch magazynach Gminnej Spółdzielni "Samopomoc Chłopska", które zostały wydzierżawione. W jednym z magazynów na chybcika zrobiono biuro i poczekalnię, a z drugiego warsztat mechaniczny z kanałem. Warunki pracy załogi były makabryczne.

Pomieszczenia były ciasne i niewygodne. Zatrudnianie kierowców i konduktorów rosło też w miarę potrzeb stojących przed załogą w celu wykonania rosnących zadań.

Zatrudnienie pracowników do pracy w zajezdni autobusowej PKS w Gubinie było jednym z najtrudniejszych. Brakowało odpowiednio wyszkolonych ludzi. Zajezdnia potrzebowała fachowców. Przede wszystkim kierowców o odpowiednich kwalifikacjach i mechaników samochodowych. Ponieważ zapotrzebowanie w zatrudnieniu rosło z dnia na dzień, zdarzały się przypadki, że przyjmowano ludzi niekompetentnych lub z krótkim stażem pracy w zawodzie.

Tak skompletowana załoga była niestabilna i nieodpowiedzialna. Bardzo trudno było zintegrować załogę otwartej placówki, bowiem zajezdnia autobusowa nie była zakładem pracy zamkniętym, jak np. "Carina". Utrzymanie dyscypliny pracy było bardzo trudne, a to bezpośrednio rzutowało na wykonywanie codziennych zadań. Warunkiem wykonania planowych zadań było sumienne wykonanie dziennego planu jazdy bez zawieszania linii oraz bezwarunkowe podporządkowanie się stopniowo wprowadzanej dyscyplinie pracy. A to szło jak po grudzie. Do tych trudności dodajmy jeszcze i to, że gubińskie zakłady przemysłowe ciągle poszukiwały i przyjmowały pracowników. Więc chyba nietrudno zrozumieć, jaka była rotacja pracowników w gubińskiej zajezdni autobusowej PKS. Trzeba również powiedzieć o tym, że w tej niedawno powołanej placówce zmieniło się aż trzech kierowników, a dyspozytorów zmieniano jak rękawiczki. Na czele placówki stał kierownik, jeden dyspozytor, dwu dyżurnych ruchu, jedna kasjerka i dwie sprzątaczk. Załogę stanowili: 28 kierowców i 28 konduktorów (liczby te często się zmieniały) oraz 3 monterów - mechaników, 18 autobusów "San" mocno sfatygowanych.

Kiedy zaproponowano mi podjęcie zatrudnienia w zajezdni autobusowej w Gubinie, nie wiedziałem o tym, że wchodzę po same uszy do piekła. No i wszedłem...

Praca, którą przedstawiam jest obszerna. Sam jej początek o tym sugeruje. Toteż postanowiłem zatrzymać się na tym, gdzie postawiłem trzy kropki...

**Autorka opowiadania Krystyna Gwizdalska jest laureatką Konkursu Literackiego im. Tadeusza Firleja „O Złote Pióro” w 2011 roku. Gubinianka od urodzenia, przez wiele lat mieszkanka ulicy Śląskiej.**

## **Kawałek mojej ulicy i... nie tylko**

Urodziłam się w Gubinie, w szpitalu przy ulicy Śląskiej i od tego momentu z nią się związałam. Mieszkałam na niej w kilku miejscach, bo tak się potoczyło życie. Życie mojej mamy, bo ja wtedy niewiele miałam do powiedzenia. A więc urodziłam się w 1946 roku, ostatniego dnia sierpnia na oddziale położniczym, a może porodówce. Pierwsze moje mieszkanie, którego pamiętać nie mogę, a znam je z opowieści mamy i rodziny, to był dom w pobliżu znanego wszystkim gubinianom stawu - dziś bardzo zaniedbanego, a w owych czasach pięknego, rekreacyjnego miejsca. To, co ja zapamiętałam z późniejszych już czasów, to był piękny park z kwitnącymi drzewami - kasztany, rajskie jabłuszka i krzewy, między innymi pigwowca oraz inne, których nazw wówczas nie znałam. Nie było już tam ptactwa (kuropatw ani bażantów), o których mi opowiadano.

Dom wraz z całym gospodarstwem otrzymał ojciec. Wywodził się z rodziny rolniczej, ale nie miał serca do gospodarki. Początkowo w gospodarce pomagali pozostali Niemcy. Później dom zajęła rodzina Kamynów. A nad staw chodziłam uczyć się jazdy na łyżwach, niestety parę upadków zniechęciło mnie do tego sportu. To z ulicy Śląskiej wędrowałam do przedszkola na obecnej ulicy Kunickiego. Wtedy budynek był ogromny, na wysokiej górze - tak widziałam oczami dziecka. Zapamiętałam, że miał piękne wnętrze. Kilka lat temu wprosiłam się tam, by zobaczyć, czy to tylko kolorowy obraz dzieciństwa. W holu szatnia, tak jak dawniej, jadalnia w tym samym miejscu, tylko na stolikach nie ma ceraty, pod którą kiedyś chowałam tran w kapsułkach, obowiązkowo "łykany" w czasie posiłku. Umywalnia i toalety - jakież postępy. Kiedy ja z nich korzystałam, to były długie rynienki (zamiast umywalek), a nad nimi paskudne krany, ale wtedy nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. Na piętrze się spało, dziś też tam śpią dzieci. Góra, o której wspomniałam, okazała się małą górką, a tak cudnie zjeżdżało się z niej na sankach. Zostały nawet zdjęcia. Na placu zabaw dziś są różne "sprzęty", kiedyś było pusto, tylko drzewa, szczególnie jedno nas intrygowało, bo miało zupełnie inne liście. To był miłorząb, był - bo już go nie ma. Jakiś

niemądry człowiek go podpalił. Mostek na Lubicy prawie taki sam i park ten sam, ale nie taki sam, tamten bardziej zadbane, alejki, fontanna i nie wydeptywana trawa, po prostu każdy chodził wytyczoną drogą. Park zapamiętałam, bo coś mnie tam straszło, przebiegałam szybko, by jak najprędzej znaleźć się na mostku, bo w drzewach coś "gadało", a to coś według mojej wyobraźni dziecięcej to była sowa, a jej bałam się nie wiedzieć czemu. Dopiero po latach odkryłam, że to były gołębie, tak sobie gruchały w tych drzewach. Wyobraźnia dziecięca podpowiedziała też ucieczkę z przedszkola, przez dziurę w płocie. Dwie dziewczynki poszły sobie pozwiedzać miasto. W domu było później nieprzyjemnie.

W szkole już nie wagarowałam. Szkoła nr 1, ulica Raławicka. Aby do niej dotrzeć, trzeba było iść ulicą (Wypiańskiego obecnie), na której budynku straszły oczodołami okien wystawowych (dziś cały parter to mieszkania), z głębi wyzierał półmrok i czasem wyobraźnia pracowała. Ale jak już pojawił się drewniany mostek na Lubicy, to było różnie. Wspomnę o rzece - była czysta, niezarośnięta i latem służyła do kąpieli - tak, tak, mówię o Lubicy, która dziś jest zaniedbana i jakby zapomniana, przypomina o sobie, gdy grozi powodzią. Co pamiętam? W szkole - podłogi czarne jak smoła i dziwnie pachnące, niezbyt przyjemnie. Ubikacje poza budynkiem szkolnym, ciągle mokre, smrodliwe, potrzeby trzeba było załatwiać na stojąco. Najgorzej było porą zimową, było tam ślisko. No i te "spacery" z budynku szkolnego do miejsca, "gdzie król piechotą chodził" - zimą bardzo nieprzyjemne. Z przyjemniejszych wspomnień zaś wylania się obraz woźnego, dobrego człowieka, przyjaznego dzieciom, z dużym dzwonkiem w rękę. Podwórko szkolne nabierało kształtu, usuwano jakieś gruzowiska, a w swojej "GORLIWOŚCI" usunięto też budynek trochę uszkodzony przez wojnę, w którym na początku działała nawet kuchnia i stolówka.

Budynek stał równoległy do funkcjonującej szkoły i też był z pięknej czerwonej cegły. No tak, ale wtedy były „genialne” pomysły - zaorać i druty kolczaste. Tak też głęboko myślący ludzie zniszczyli piękny budynek szpitalny, niejeden zresztą...

Szpital usytuowany w parku, w środku miasta, a jednak w ciszy i z dala od ulicznego ruchu. Dziś stoi tam basen. Ponieważ to było miejsce moich zabaw i ścierałam tam łokcie i kolana, mogę tylko powiedzieć - niech im ziemia lekką będzie! Tym, co podjęli decyzję rozbierać, a właściwie wysadzić, bo założono ładunki, polecono w okolicy pootwierać okna i sru... Dwa budynki szpitalne plus trzeci - dom pogrzebowy (jak to dziś ładnie się nazy-



**Tak wyglądała ulica Śląska w 1915 roku. Obraz tej części ulicy nie zmienił się do dziś. W jednym z budynków po prawej stronie mieszkała kiedyś autorka opowiadania**

wa, a dawniej był kostnicą). Pierwszy - duży z czerwonej cegły, z wykuszanymi (tam podobno były sale operacyjne), drugi - mniejszy, z dużym tarasem, z którego sięgało się po owoce, soczyste gruszki. Niektóre sale w kafelkach, resztki waty szklanej, resztki jakiegoś sprzętu, winda towarowa, a może kuchenna, w której chowaliśmy się, bo tam odbywały się zabawy w chowanego. Z piwnic były przejścia do schronów. Obok basenu jest tego ślad. Nieopodal w parku są inne schrony, dziś brudne, zaniedbane, nieczynne. Park otaczający szpital był pełen róż i drzew niespotykanych, o dziwnych kształtach, liściach, kwiatach, a dla nas największą frajdą było huśtanie się na wiotkich starych, pięknych wierzbach płaczących. Dziś niewiele już pozostało, najczęściej park okupują pijący alkohol ludzie. I nie ma on już nic zachęcającego, by na chwilę w nim usiąść, odpocząć, pooddychać świeżością powietrza, nacieszyć oczy zielenią. Droga nazwana dziś Nową jest nowa, bo dawniej to była niewybrukowana powierzchnia z wybojami. To ulica równoległa do Śląskiej. Taka wiejska dróżka, a wzdłuż niej małe ogrody i sady dla domów z ulicy Śląskiej, zadbane i uprawiane. Dziś stoją tam domy ze sklepami.

Ulica Śląska była wtedy wybrukowana, jeździły po niej fury, z rzadka

samochody. Pierwszy taksówkarz, pan Gąsiorowski wywołał niemałą sensację. Wypada już powiedzieć co nieco o kawałku ulicy, który był w zasięgu moich wędrówek, no i miejsc zamieszkania. Zacznę od początku ulicy - co pamiętam najbardziej, cukiernia pana Wachowskiego, na rogu, smaczne, świeże, pachnące ciastka słusznym rozmiarów, a napoleonki, czyli kremówki zapewne nie gorsze od wadowickich. Pycha. Dość długo ta cukiernia nas uszczęśliwiała. Ciasteczka za 2 zł. O ile dobrze pamiętam. Za to smak tych pyszności czuję do dziś. Idąc dalej lewą stroną ulicy - wspominam sklep z pieczywem, takiego już nigdy w Gubinie nie było - jakże pachniało tam chrupiącą skórką pieczywa, a ile i jaki wybór(!), dla mnie, dziecka to prawie zawrót głowy. Bułeczki chrupiące i było co zjeść, nie ma co porównywać z dzisiejszymi dmuchanymi. Niestety, sklep długo nie przetrwał. Następny budynek to słynny Hotel pod "Złotą Rybką" - dlaczego tak się nazywał nie wiem, bo rybki nie widziałam, za to tkwiła tam nad wejściem kula jako ozdobnik zapewne. Samego hotelu nie pamiętam, ale utkwiło mi wejście - po schodkach w dół (2-3 stopnie) i duże pomieszczenie, trochę mroczne - to była zapewne recepcja. Samo pomieszczenie bardziej pamiętam, bo utworzono tam sklep z jakimś żelastwem - pamiętam, że można tam było kupić gwoździe. Z biegiem lat w tym miejscu były różne sklepy, a nawet bar mleczny. Ze wspomnień wzrokowo-zapachowych pamiętam sklep mięsny (dziś jubilerski) i haki były nawet pełne, asortyment może nie tak bogaty jak dziś, ale wędlina przyjemnie pachniała, a szynka była prawdziwą szynką. Pracował tam pan Juchacz i jak mi się wydawało, wybierał dla mnie najlepsze kęski. Następne dwa budynki (nr 9 i 11) to małe domeczki, niby piętrowe, ale jakies takie bajkowe. W jednym z nich mieszkała słynna Polcia, trochę niepełnosprawna psychicznie, i wprowadzała wiele wesołości na ulicy. Któregoś razu za lekarzem specjalistą położnictwa i ginekologii biegła i wołała - tu muszę użyć brzydkiego słowa - piździarz. Tegoż samego lekarza poszukiwała w barze piwnym zwanym Zagłobą gdy był potrzebny w szpitalu, a ona tam była pomocą sprzątającą - uważała zapewne, że jest to miejsce najlepsze, gdzie mógł się "ukryć" ów lekarz. Drugi mały domek to gospodarstwo państwa Potrzebskich, hodowano tam krowy, kury, kaczki i konie. Codziennie rano krowy były wyprowadzane przez drogę na ulicę Legnicką i dalej na łąki poza granice miasta. Wieczorem wracały. A na ulicy unosił się zapach wiejskiego podwórka i słychać było muczenie krówek i rżenie koni. Na ulicy pozostawały też ślady wędrówki tych zwierząt, tzw. placki i bobki końskie - i jak to się ma do dzisiejszego deptaka? Chodziłam tam z kaneczką po mleko



(pite ciepłe, prosto od krowy). Pani Potrzebska, kobieta pulchniutka, zawsze groźnie mnie witała, gdy w niedzielę spóźniałam się po mleko, słowami "Co tak późno, tak długo śpisz, to oczy ci wygniją". Nie było to jednak złośliwe. Tam pobierałam nauki dojenia krowy, moja koleżanka, córka gospodyni - przybrana, ale kochana jak własna, uczyła mnie tej sztuki. Biedne krowy musiały znosić moją nieudolność. Następny domek (nr 13) też był bajkowy, a może jeszcze bardziej niż poprzednie, bo miał taki zewnętrzny balkonik - loggię - osłonięty metalową poręczą. W tym domu mieszkała para starszych ludzi, przemiłych zresztą. On zegarmistrz - pan Derfel - prowadził warsztat zegarmistrzowski, wydaje mi się, że pierwszy w Gubinie. I znów wysoka kamienica (15), a w niej pierwszy szewc pan Maliszewski. Szewc jak to szewc miewał swoje poniedziałki, ale buty robił elegancko. Po nim powstał sklep - pierwszy z damską odzieżą sklep, pani Krzakowej, elegantki. Towar sprowadzała z Warszawy i miał wzięcie. Pod 17-tką urzędował uprawniony technik dentystyczny, to jest taki, który mógł leczyć, wrywać zęby i wstawić. Pan Dubowik w Gubinie był od 45 roku. Tu się na chwilę zatrzymam, bo 17-tka to też moje wieloletnie mieszkanie, takie, które czasem teraz w snach tylko mi się śni. Dużo wspomnień młodzieńczych z nim się wiąże. Ale i takie, że swoje pierwsze pieniądze na kieszonkowe zarabiałam, sprząając gabinet dentystyczny 3 razy w tygodniu i klatkę schodową (to był czas szkoły średniej). Nr 19 - fryzjer, pan Sieradzki - udoskonalął swój zakład fryzjerski i powstawał salon, ileż osób brało u niego nauki. Zakład trwał wiele, wiele lat, a po śmierci właściciela zakład przejęła córka Iwona.

Przechodząc Legnicką - nr 21 (dziś sklep motoryzacyjny) w latach 40. była tam restauracja, nie wiem czyja, ale wiem, że pani Bildziukowa, znakomita kucharka (czy z wykształcenia?) miała tam udział. Ja znam ten szczegół z opowiadań mamy - tu muszę bić się w piersi, że nie wszystko zapamiętałam, bo mnie wtedy, gdy opowiadała, nie interesowało, a teraz jest już za późno, żyje ona w swoim świecie i już. Wiem tylko, że wesoło tam było i alkoholowo. W tym samym budynku był fotograf, pan Lange, prowadził swój zakład - atelier Warszawianka - razem z żoną przez długie lata. Ja jakiś czas mieszkałam z mamą pod tym numerem, w budynku-odnodze, czyli w podwórku. Obok był ogród owocowy i tam z synem fotografa brałam swój pierwszy ślub z firanką na głowie, niestety ojciec fotograf nie uwiecznił tej pierwszej przysięgi swojej latorośli. Za ogrodem był plac, na którym odbywały się targi końskie i chyba świnek. Bywało też, że stacjonowali tam Cyganie, cały tabor. Idąc dalej mamy, a w zasadzie mieliśmy, mleczarnię, z

kioskiem pełnym własnych wyrobów, pysznej śmietany, masła i innych. Czasem rozsiewała niezbyt przyjemny zapach, ale jakoś nikt nie narzekał i nie występował, że trzeba ją zlikwidować. Dwa domy dalej zegarmistrz, pojawił się nowy, pan Staszczuk, pana Derfla już wówczas nie było. Dom dalej - budynek szpitalny, stojący przy ulicy - najpierw był przychodnią, tam swoje pierwsze kroki stawiał stomatolog dr Hadada. Na poddaszu były pokoje dla personelu. Czynne było tylko jedno skrzydło. Ileż razy chciałam dowiedzieć się, co jest za tymi drzwiami tajemniczymi, a tam tylko uszkodzony mocno budynek (drugie skrzydło). Podwórko szpitalne było częstym miejscem mojej zabawy, to było wczesne dzieciństwo. A tam tyle się działo. Ponieważ kostnica była przy szpitalu, to karawany często stamtąd wyjeżdżały, konne oczywiście, czarne. Te karawany ulicą Śląską wędrowały do kościoła Św. Trójcy, a potem na cmentarz. Upływały lata, zmieniały się karawany, na ładniejsze, bogatsze w ozdoby, zmieniała trasa, a potem "wyniesiono" kostnicę, bo powstał dom pogrzebowy. A wracając do szpitala - postanowiono go odbudować i wyremontować. Ten w głębi podwórka, właściwy szpital funkcjonował, ale było coraz ciasniej i trzeba było otworzyć nowe oddziały szpitalne. W tym czasie nieco dorosłam, na tyle, że mogłam pomagać przy urządzaniu oddziału ginekologicznego - odwijalam wstęgi papieru, którym "opatulone" były części łóżek, tam pomagała moja mama i nie tylko ona. wielu pracowników stanęło do czynu społecznego i nikt się nie wstydził pracować za darmo ani tej nazwy "czyn społeczny", który to dziś jest zwrotem nie do wypowiedzenia. Wszyscy cieszyli się, że oto powstaje szpital. Wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że kiedyś będę tam pracować, a już na pewno, że będę pacjentką oddziałów wewnętrznego, chirurgicznego i tejże ginekologii. A dyrektor szpitala - ordynator oddziału dr Gwizdalski nie uściśnął mi nawet ręki - wtedy.

Dalej już nie wypuszczam się w ulicę Śląską, choć może wspomnę o pani, która była postrachem handlowców i prywaciarzy (przepraszam za brzydkie określenie, ale wtedy używane), to pani Iwanowska. To była chyba jedyna kobieta, której się bano. A pracowała w Izbie Skarbowej.

Przechodzimy na prawą stronę ulicy, naprzeciw szpitala mieszkał pan Banasiak - to ten, który miał kiosk na wysepce u zbiegu ulic Wyspiańskiego, Nowej i Chopina - tu gdzie dziś skrzyżowanie na tzw. światłach, a kiosk konkretnie stał w miejscu obecnego trawnika i krzewów. Czego w tym kiosku nie było, wszystko, czego dusza pragnęła. W owych czasach kiosk był oblegany, a pan Banasiak wiecznie uprzejmy. To były takie delikatesy. Długo stał ten

kiosk, aż przyszedł czas... No ale wracajmy na ulicę. Sklep pani Broni, wszyscy go znali, świetnie zaopatrzone "w mydło i powidło" sklepy spożywcze. Pani Bronia umiejętnie zachwalała swój towar, to była prawdziwa "pani Rzecka". Szkoda, że dziś już takich nie ma. Następny budynek znany z piekarza Majchrzaka, w podwórku była piekarnia, gdzie wypiekano chleb - dobry, bo prawdziwy, bez tych wszystkich ulepszcaczy. Piekł, też ciastka, a prywatnie dla znajomych piekł torty smakowite ozdabiane różami z kremu. W tym podwórku był też magiel, duży, ciężki, a wtedy z koszami pełnymi bielizny biegano się do magła, i ja miałam taki obowiązek. Pomoc kolegów mogła pewnego razu okazać się dla jednego z nich utratą palców, bo gdy jeden dokładnie chciał rozłożyć zawiniętą na wałek część pościeli, drugi już w tym czasie ruszył z werwą do kręcenia korbą. Krzyk! Ale tylko lekko nadpłaszczony palec. I to była ich ostatnia pomoc, więcej nie dali się namówić.

Następny budynek to słynna "Zagłoba", gdzie towarzystwo siedziało i piło piwsko (przynajmniej nie pałętali się po parkach) - och, jak tam było gwarno i tłoczno. Za "Zagłobą" był sklep mięsny pana Rosińskiego. Dobre, jak własne wędliny, a w czasach trudnych pan Rosiński zawsze coś miał dla mnie pod ładą. I wreszcie dom, w którym z mamą mieszkałam na poddaszu, a bawiłam się na strychu - to bardzo wczesne dzieciństwo - a żeby je mi umilić, pan Malinowski (prezes Nowej Ery - nie wiem czy tak się wtedy nazywała), zrobił mi piękny domek dla lalek i mebelki, pamiętam jasne, z kwiatkami. Na parterze tego budynku mieszkała rodzina p. Bildziuków, on zapalony myśliwy, ona gospodyni domowa, świetna kucharka - jak już wspominałam. U nich często spotykali się warszawiacy i nie tylko, to były spotkania towarzyskie, okazyjne. Ja tam też bywałam i podziwiałam różne bibeloty skrzętnie zbierane przez właścicielkę i gramofon z korbką. Wolno mi było je dotykać. Z tego okresu pamiętam te przyjaźnie i radość spotykających się ludzi i chęć niesienia pomocy, kiedy trzeba było. I mogę chyba powiedzieć, że przetrwały do czasu odchodzenia w zaświaty. Wreszcie miejsce szczególne - pompa miejska, stoi do dziś, ale czy czynna? Wtedy czynna, woda pyszna, biegano się z wiaderkami, gdy zabrakło jej w kranach. Obok stały strzeliste drzewa, piękne, wyprostowane, dziś tylko wspomnienie. W Gubinie nie kochają drzew. Kilkadziesiąt metrów dalej, w głębi domek mały, gospodarstwo, skąd też wędrowały krowy... Potem duży dwupiętrowy dom - na parterze krawiec Liszak, męski krawiec. I następny dwupiętrowy - tam wprowadza się pierwszy "RUCH" z dyrektorem czy kierownikiem (z rodziną), panem Bednarskim. Po likwidacji "RUCHU" powstał sklep papierniczy i

tak trwa do dziś. W kolejnym domu piętrowym znajdowało się pogotowie ratunkowe, na piętrze było duże pomieszczenie, w którym odbywało się spotkanie z Mikołajem dla dzieci pracowników służby zdrowia. Dostaliśmy paczki i była fajna zabawa, tyle pamiętam. Potem wprowadziło się jakieś wojsko - WSW? A pogotowie przeprowadziło się do budynku na ulicy Kunickiego. Dziś budynek wygląda nieciekawie. W głębi podwórka znajdowała się siedziba energetyki, tu jedno z nazwisk - Adamski - chyba szef albo główny majster. Po zmianie siedziby powstała tam Spółdzielnia Lekarska, gdzie pracował lekarz Gwizdalski, a to znaczy, że była to poradnia dla kobiet. Dwa domy dalej



Ulica Śląska we wrześniu 2006 roku

też mieszkałam, ale tam byłam mała i niewiele pamiętam. Wspomnę o paniach, które pojawiły się w Gubinie, nazywaliśmy je inwalidkami (dziś ładniej się określa inwalidztwo - niepełnosprawnością), mieszkały na początku ulicy Śląskiej i łapały oczka w pończochach, taka pierwsza repasacja. No i w końcu sklep, który od lat, a śmiem twierdzić od początku swojego istnienia, nie zmieniał się, to sklep z materiałami i pasmanterią, pierwsza sprzedawczyni to pani Kuświk.

Napisałam o kawałku mojej ulicy, gdzie miałam koleżanki i kolegów, niektórzy do dziś mieszkają w Gubinie. Niewiele to wniosło do historii miasta, ale przypomniałam o jego mieszkańcach, o których już niewiele pamięta.

## Modlitwa zesłanych

To jak zły sen, koszmar, o którym chcemy szybko zapomnieć, ale nie możemy, bo jest w nas, bo nie jest tylko senną marą, ale jest częścią nas. Jest jak modlitwa, którą codziennie odmawiamy i która będzie nam towarzyszyć do końca naszych dni - tak o pobycie w Kazachstanie mówi dziś Stanisława Matuszak - sybiraczka uhonorowana w roku 2006 przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Zesłańców Sybiru.

Do śmierci mieszkała przy ulicy Nowotki.

### **Marek Matuszak - Gdzie mieszkała Pani przed wojną?**

Stanisława Matuszak - Przed wojną mieszkałam w Stanisławowie, niedaleko Lwowa, na terenie dzisiejszej Ukrainy, ale przed wojną to była Polska, nasza Ojczyzna. Moja rodzina mieszkała tam od wielu pokoleń. Tato był ogrodnikiem, a mama krawcową.

### **M.M - Czy pamięta Pani dzień wkroczenia do Pani miejscowości wojsk Armii Czerwonej?**

S.M - Do mojej miejscowości nie wkroczyły bezpośrednio oddziały Armii Czerwonej. Prawdopodobnie Stanisławów nie był miejscem strategicznym. Wiedzieliśmy jednak o wybuchu wojny i od września 1939 roku żyliśmy w wielkim strachu. Od początku znajdował się u nas posterunek i prawie codziennie przyjeżdżało NKWD, zabierali niektórych ludzi, mówiono nawet, że ich rozstrzeliwano. Prawdą było, że ich rodzina nie wiedziała, co się z nimi stało.

### **M.M - Wiele mówiono o negatywnej postawie Ukraińców wobec Polaków. Czy w Pani otoczeniu mieszkali Ukraińcy i jak zachowywali się oni wobec Pani rodziny i innych Polaków?**

S.M - W naszym sąsiedztwie mieszkali Ukraińcy. Przed wojną żyliśmy normalnie, choć wiadomo było, że mamy inny język, religię. Po wybuchu wojny odżyły jednak duchy przeszłości. Ukraińcy zawsze chcieli mieć własne państwo, a długo byli pod polską władzą. Myślę, że chcieli wykorzystać sytuację i trochę zemścić się na Polakach. Ja nie pamiętam żadnych mordstw. Pamiętam tylko, że jak nas wywozili, to Ukraińcy cieszyli się i od razu na naszych oczach okradali nasze gospodarstwa. Teraz wiem, że oni znali prawdę, wiedzieli, że my już tam nigdy nie wrócimy. My wierzyliśmy, że niedługo znów będziemy w domu i dlatego tak bardzo nas to bolało.

### **M.M - Kiedy i w jaki sposób dowiedzieliście się o planowanym wywozie Polaków na Wschód i czy znaleźcie powody przymusowego przesiedlenia?**

S.M - Słyszeliśmy o wywozie Polaków, ale nikt nas oficjalnie nie informo-

wał, nie uprzedzał. Choć miałam zaledwie 11 lat, to widziałam i czułam, że dzieje się coś złego, że moi rodzice nie są tacy jak dawniej. Pamiętam też dokładnie ostatni dzień w moim rodzinnym domu. Było wcześniej, choć już nie spaliśmy, nagle do domu bez pukania wszedł Rosjanin. Był ubrany w wysokie skórzane buty i skórzany płaszcz. Mama, gdy go zobaczyła, zaczęła płakać, tatuś poderwał się na równe nogi i stał wyprostowany zasłaniając mnie. Siedziałam na łóżku i wiedziałam, że ten dzień zmieni wszystko. Rosjanin podszedł do stołu, wyciągnął z raportówki jakieś papiery i pokiwał na tatę, by poszedł. Kazał mu coś podpisać i powiedział, że mamy się ubrać i zabrać ze sobą jedną parę ubrań na przebranie i za 10 minut być gotowi i stać na drodze przed domem. Mama nadal płakała, ale zaczęła jak robot pakować rzeczy do tobołka. Tato podszedł do mnie, pogłaskał mnie po głowie i przytulił. Nikt nie wiedział, co z nami będzie. Gdy wyszliśmy przed dom, żołnierze zabrali nas wszystkich razem. Jeden z nich, pewnie oficer, powiedział, że z powodu zbliżającego się frontu dla naszego bezpieczeństwa muszą nas wysiedlić, ale tylko na dwa tygodnie, dlatego nie musimy ze sobą nic zabierać. Żołnierze będą pilnować naszych domów i gospodarstw i gdy wrócimy, wszystko będzie na miejscu. Nikt nie wierzył, że oficer mówi prawdę, bo kto miałby niby karmić i obrządzać zwierzęta. Wszyscy jednak słysząc, że zbliża się front, wierzyli w to i mieli nadzieję, że dzięki wykwaterowaniu przeżyją, a potem wrócą do domu. Dziś wiem, że wszystko to było kłamstwem, a w lutym 1940 roku na Ukrainie nie było frontu. Wojna w ZSRR rozpoczęła się dopiero w czerwcu 1941 roku. Mówili tak, abyśmy się nie buntowali, aby nas przestraszyć i zostawić nadzieję na powrót. Dziś nie wiem, po co...

### **M.M - Czy cała Pani rodzina została wywieziona?**

S.M - W tym strasznym dniu wywieziono całą moją rodzinę: mnie, moich rodziców, siostrę mamy Marię, mojego dziadka ze strony mamy, a także dziadków ze strony taty. Razem z nami została wywieziona też cała rodzina naszych sąsiadów - Wojtygowie.

### **M.M - Jak przebiegał transport ludności na Wschód?**

S.M - Transport to dobre określenie. Najpierw załadowano nas na ciężarówkę i wywieziono ze wsi, nie mówiąc nam, dokąd jedziemy. Żołnierze, którzy siedzieli na ciężarówkach, nie pozwalali nam rozmawiać ze sobą po polsku. Po godzinie dojechaliśmy do torów kolejowych. Nie było tam żadnej stacji. W szczyrim polu pokrytym śniegiem zaczęto nas ładować do wagonów towarowych. Ciężarówkę ciągle podjeżdżały, a nas pakowano w wago-

nach. Było strasznie zimno. Na środku każdego wagonu stała koza, taki mały piecyk, który nie był w stanie nas ogrzać, a drzewa na opał i tak nie było. To był prawdziwy koszmar, choć wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jak długo będziemy tak "podróżować".

### **M.M - Jak długo trwała podróż?**

S.M - Jechaliśmy cały miesiąc, bez jedzenia i bez picia. Na postoju dostawaliśmy co drugi dzień kawałek chleba, "piliśmy", zlizując lód z wagonów. W dzień najczęściej staliśmy na stacji, a w nocy jechaliśmy. Pociąg był tak długi, że na zakręcie nie było widać końca. Jechaliśmy cały czas na wschód i dorośli domyślali się, że jedziemy na zesłanie, do krainy wiecznych mrozów, na przysłowiowy koniec świata. Była w nas wtedy jednak nadzieja, bo skoro Rosjanie nie zabili nas od razu, tylko transportują nas, to może to tylko przesiedlenie i może jeszcze będzie normalnie?

### **M.M - Dokąd zostaliście wywiezieni?**

S.M - Po miesiącu kosmaru, jazdy z trupami i ludzkimi odchodami, głodni i przerażeni dotarliśmy do Kazachstanu - krainy, o której nikt z nas wcześniej nie słyszał.

### **M.M - Gdzie i w jakich warunkach zostaliście zakwaterowani?**

S.M - Gdy kazali nam wysiadać z wagonów, był marzec, nadchodziła wiosna. Szliśmy pieszo około 10 kilometrów pod eskortą żołnierzy. Tak dotarliśmy do Sowchozu Czekat. Tu czekały na nas wykopane ziemniaki i nory w ziemi. Pamiętam rozpacz mamy, gdy pokazano nam, gdzie mamy mieszkać. Ojciec tylko zacisnął zęby i cicho powiedział: "Damy radę. Najważniejsze, że żyjemy i jesteśmy razem". Ale tak dobrze było krótko.

### **M.M - Proszę powiedzieć, gdzie Pani pracowała i czym zajmowali się Pani najbliżsi?**

S.M - Od razu wszyscy dorośli zostali skierowani do pracy. Ich rolą było karczowanie, praca w kopalniach i przygotowywanie dróg i torów. W jednym miejscu koczowali zawsze maksymalnie pół roku i potem byli przewożeni w następne miejsca. Dzieci, tak jak ja, nie musiały pracować. Zajmowały się one domem, przygotowywaniem np. jedzenia, a najczęściej była to zupa z pokrzywy.

### **M.M - Czy otrzymywaliście zapłatę za waszą pracę?**

S.M - Nikt nie dostawał żadnej zapłaty, chyba że baty za najmniejszą formę sprzeciwu. Pracujący dostawał pół kilo chleba, a niepracujący 0,2 kg i to było wszystko, co otrzymywała moja rodzina. "Za mało, by przeżyć, a za dużo, by umrzeć". Ludziom, którzy pracowali w Kołchozach czasami udało

się ukraść kilka garści zboża i na tym gotowało się zupeł i trzeba przyznać, że to był wyjątkowy rarytas. W sklepach, w pobliskich Szczerbaktach były tylko cukierki i kapusta kiszona, ale i tak nikt z nas Polaków tego nie kupował, bo nie mieliśmy pieniędzy.

### **M.M - Czy ktoś z Pani bliskich zmarł w Kazachstanie?**

S.M - Pobyt w Kazachstanie wciąż przynosił śmierć kogoś bliskiego. Najpierw zmarli dziadkowie z powodu przepracowania, a także bardzo wysokich temperatur latem i bardzo niskich zimą. Dziś jednak wiem, że tak naprawdę umarli z głodu. Niewielkie porcje żywności nie pozwalały przeżyć całej rodzinie, dlatego starsi oddawali swoje racje chleba młodszym, a sami umierali z głodu i wycieńczenia. Ktoś musiał przeżyć, by dać świadectwo tragedii i bestialstwu, ktoś musiał wreszcie być wolnym, mieć nadzieję i mieć co jeść, to była swoista inwestycja w przyszłość i pamięć, w prawdę, którą musi usłyszeć ludzkość, oni przecież nie chcieli umierać bezimiennie, bez sensu. Chcieli, by ich śmierć była światłem nadziei dla ich potomstwa, dla kolejnych pokoleń Polaków, którzy zawsze umieli walczyć. Rok 1944 był tragiczny dla mnie - dziecka, które i tak niejedno widziało i przeżyło. W 1941 roku po podpisaniu układu Sikorski-Majski zaczęto formować oddziały polskiej armii w Bazułuku pod dowództwem gen. Wł. Andersa. Mój tato, gdy tylko do naszego kołchozu dotarły te wieści, za wszelką cenę chciał walczyć. Uważał, że to jego obowiązek. Rosjanie nie chcieli puszczać Polaków, więc któregoś nocy uciekł wraz z dwoma innymi Polakami i słuch po nim zaginął. Wiosną 1944 roku mama dostała wysokiej gorączki i nie mogła pójść do pracy. Spędzałam przy niej dnie i noce. Bardzo cierpiała, majaczyła, ciągle wołała ojca. Po dwóch tygodniach zmarła, prawdopodobnie na tyfus. Zabrano jej wychudzone ciało. Ja z cicią ścięliśmy kilka wielkich traw i przykryliśmy je. Nikt nie kopał grobu, nie składał kwiatów i nie palił zniczy. To jest największa rana w moim sercu - moja matka nie ma pomnika, na którym można zapalić znicz. Czym zasłużyła sobie na tę tułaczkę dusz? Chyba tylko tym, że była Polką.

### **M.M - Kiedy i jak dowiedziała się Pani o zakończeniu wojny?**

S.M - My nie od razu dowiedzieliśmy się o końcu wojny, tym bardziej że gdy skończyła się wojna w Europie, ZSRR nadal prowadziło walki z Japonią. Ja już wtedy tak naprawdę byłam sierotą. Mama nie żyła, a tato nie dawał znaku życia. Opiekowała się mną ciocia Maria i to ona latem 1945 roku przyniosła do domu tę wieść, ale nikt z nas nie wiedział, czy to prawda.

### **M.M - Czy mogliście bez problemu wrócić do Polski?**



S.M - Najpierw baliśmy się nawet o to pytać, ale wiosną 1946 roku przyszedł do nas urzędnik i pytał, czy chcemy wracać do Polski. Nie do domu, ale do Polski. Dla nas te słowa były jak zbawienie. Oczywiście, że chcieliśmy wracać.

### **M.M - Jak znalazła się Pani w Gubinie?**

S.M - Przy wyjeździe z Kazachstanu pojawił się problem z moim powrotem. Urodziłam się w 1930 roku, byłam więc niepełnoletnia i bez rodziców. Jako sierota powinnam trafić do domu dziecka w ZSRR. Nie miałam dokumentów, bo ciotka mój akt chrztu spaliła. Powiedziałyśmy urzędnikom, że urodziłam się wcześniej i tak udało mi się wyjechać z dziadkiem Gacem i ciocią Marią. Znowu wsadzili nas do wagonów towarowych i zawieźli do Brześcia, ale teraz nikt z nas nie narzekał. Wszyscy byli zadowoleni, jechaliśmy do kraju, do Ojczyzny, znów czuliśmy się wolni.

Do Gubina dotarłam przez przypadek. Gdy dojechaliśmy do Brześcia, wiedzieliśmy, że nie możemy wrócić do Stanisławowa, bo granice zostały przesunięte i nasz dom leży na terenie ZSRR, a tego nikt nie chciał. Lepsza była droga w nieznaną, niż powrót w niewolę. Na dworcu w Brześciu rozdzielano nas po dwa wagony: do Gorzowa Wlkp., Gubina i Zielonej Góry. My trafiliśmy do Gubina, cokolwiek miało to znaczyć, znaczyło dom.

### **M.M - Kiedy nawiązała Pani kontakt z ojcem?**

S.M - Po osiedleniu się w Gubinie poszukiwałam ojca, ale niestety bezskutecznie i właściwie już pogodziłam się z jego śmiercią. Gdy jesienią 1949 roku dostałam list z PCK z informacją, że poszukuje mnie zamieszkały w Kanadzie, w Toronto Józef Bandur, cóż to była za radość. Ja - choć już dorosła - poczułam się dzieckiem, a nie sierotą. Choć daleko, ale miałam ojca, który mnie odnalazł.

### **M.M - Czy potrafi Pani wybaczyć ludziom, którzy narazili Panią i Pani rodzinę na taką golgotę?**

S.M - Wybaczyć? A co oznacza to słowo? Nie mieć żalu? Jeśli tak, to już nie mam, nie czuję złości, ale jeśli zapomnieć - to nie mogę i potrafię. Do dziś z wielkim szacunkiem odnoszę się do kromki chleba, bo wielokrotnie mi jej brakowało. Nie mogę zapomnieć dnia śmierci mamy, buntu i bezradności, a także gniewu i żalu do Pana Boga, który chyba odwrócił od nas wzrok. Na pewno codziennie modłę się za wszystkich, którzy tam zostali. Skoro więc pogodziłam się z Panem Bogiem, to i chyba wybaczyłam.

### **M.M - Czy została Pani odznaczona orderem?**

S.M - Nie oczekiwałam nawet odznaczenia, choć muszę przyznać, że było

mi miło, kiedy władze naszego kraju pamiętają nie tylko o tych, którzy walczyli z bronią w rękę, ale i też o nas, Sybirakach - zesłanych na kraniec świata.

**M.M - Czy chciałaby Pani przekazać coś młodemu pokoleniu ludzi, którzy nie znają wojny, dla których Pani przeżycia to fragment podręcznika do historii?**

S.M - Dziś młodzi ludzie nie zawsze doceniają to co mają, wydaje im się, że ludzie żyli tak i w poprzednich pokoleniach. Chciałabym, aby dzisiejsze i następne pokolenia nie musiały przechodzić takich katuszy. My, wasi dziadkowie, cierpieliśmy za was i abyście pamiętali, że nasza historia to też część waszego życia. Szanujcie wspomnienie o naszym losie i przekazcie go swoim dzieciom. Tak, by nasza historia była żywa w pamięci przyszłych pokoleń.

## Legendy z Ziemi Gubińskiej

### Husyci w Guben

\* Nim Husyci zdobyli Guben na ulicy nazwanej później Hundgasse (Psia uliczka), odbyła się straszna walka. Krew z góry spływała, którą psy zlizywały. Stąd nazwa ulicy Hundgasse. Od tego czasu ludziom czasami towarzyszy w nocy widok białego psa (nigdy czarnego).

Przypomnę, że czescy Husyci napadli na miasto w 1429 roku, a Hundgasse to obecna ulica Repatriantów na Wzgórzu Lubszańskim.

\* Na ulicy Pförtenerstraße (obecnie ulica Śląska) Husyci zamurowali kobietę, której ręce i nogi związali. Później do tego domu trafił niemiecki oficer. Kobieta dzwoniła łańcuchami na rękach. Oficer usłyszał dźwięki i polecił rozbić ścianę. Jeszcze żyjącą kobietę uwolnił.

W kontekście najazdu Husytów przytoczę jeszcze legendę o pobliskim jeziorze w Deulowitz, za "Festschrift zur 775-Jahr-Feier. Księga jubileuszowa z okazji 775 rocznicy miasta Guben", s. 49: "Nad jeziorem w Deulowitz pewien mężczyzna chciał łowić ryby. O godzinie 12 wędka się poruszyła, a kiedy wyciągał zdobycz, ktoś uderzył go w policzek. Uciekał, ale dalej dostawał po twarzy. Innym razem mężczyźni chcieli wypuścić wodę z jeziora, ale również zostali spoliczkowani. Mówi się, że w jeziorze leży zrabowany przez Husytów skarb, który stoczył się ze wzgórza Kaltenborn. Husyci, którzy chcieli go wydobyć z wody, utonęli i nikt inny nie mógł już skarbu wydobyć.

## Polskie nazwiska w Guben i najbliższej okolicy

**Jedna z metod wykorzystywanych w badaniach pochodzenia ludności to analiza rozprzestrzeniania nazwisk charakterystycznych dla danej kategorii narodowościowej - podkreślili Mariusz Kowalski i Przemysław Śleszyński w artykule "Migracje Polaków do Niemiec w świetle częstotliwości występowania najbardziej popularnych polskich nazwisk" - Przegląd Zachodni nr 2, Poznań 2010.**

Na początek nieco wprowadzenia w historię. W roku 1236 zmarł kasztelan Szydłowa nad Odrą, koło wsi Łomy, zapisany łaciną Dirizslaus. Dzierżysław, Dzirżslaw, Dziersław, Dzirślaw - staropolskie imię, złożone z członów Dzierży- ("trzymać") i -sław ("sława"). Oznaczało prawdopodobnie "tego, który posiada sławę".

Lubuski historyk Stanisław Kowalski zauważył, że nieliczne nazwiska patrycjuszki zapisane w dokumentach z końca XIII stulecia potwierdzają, iż element niemiecki sprawował rządy w Gubinie, gdzie przeważała rodzima ludność łużycka (słowiańska). Niektórzy z uprzywilejowanych, jak Lemkin czy Godini, mogli mieć słowiańskie korzenie. Językiem urzędowym, gospodarczym był język niemiecki, więc Łużyczanie ulegali germanizacji.

Już w czasach późnego średniowiecza pojawiły się pierwsze polskie nazwiska w Niemczech. Ludność wymieniała się dzięki związkom politycznym. Na przykład Saksonia z Gubinem w latach 1697-1706 i 1733-1763 była w unii personalnej z Polską (August II Mocny i jego syn August III Sas). Nasze nazwiska przenikały z regionów pogranicza do Berlina i innych regionów Brandenburgii, w tym Łużyc. Emigranci z terenów rdzennie polskich pojawiali się za pracą w Niemczech i po powstaniach, gdy spora część naszego terytorium znalazła się pod panowaniem pruskim, i po rozbiorach. W Zagłębiu Ruhry na początku XX wieku 40 procent mieszkańców gminy Bottrop była pochodzenia polskiego i dlatego zwano ją Małą Warszawą. Po I wojnie światowej część ludności pogranicza polsko-niemieckiego wyemigrowała do Niemiec, nie widząc przyszłości w odrodzonym państwie polskim. Konsekwencje II wojny światowej także spowodowały fale migracji. Wielu wykorzystywało prawo do niemieckiego obywatelstwa z przyczyn politycz-

nych i ekonomicznych w późniejszych latach (głównie 1956-1989).

Nazwiska polskie ulegały mocnemu zniekształcaniu poprzez dostosowywanie się do wymowy i pisowni niemieckiej. Wielu Niemców miało przodków Polaków. Są i Polacy z korzeniami niemieckimi.

Niektóre źródła (np. niemieckojęzyczna Wikipedia) podają, że 13 procent mieszkańców Niemiec, tj. około 10 mln ludzi ma polskie nazwiska. Wcześniej wymienieni naukowcy doszli do wniosku, że to liczba zawyżona i trzymają się liczby 4 procent (ok. 3 mln mieszkańców).

Nazwisko Kaczmarek występuje szczególnie w sąsiadującej z Gubinem Brandenburgii i Saksonii. Na dawnym polsko-niemieckim pograniczu występują nazwiska takie, jak: Janke, Radtke, Reschke, Liedtke, Mielke, Paschke. Pochodzić one mają od zdrobnień typu Janek, Radek, Lutek, Miłek, Paszek - licznie rozpowszechnionych na Łużycach. To mogą być nazwiska zachodniosłowiańskie, bo nosili je zgermanizowani Polacy, Pomorzanie, Obodrzyci, Wieleci i Serbowie (Łużyczanie). Dostęp do urzędowego rejestru mieszkańców Niemiec i wsparcie językoznawców wyjaśniłoby więcej.

W 1924 r. w ósmej klasie gubińskiej Hindenburgschule uczyły się m.in.: Inge Jurczyk, Johanna Majerowicz, Margot Karpinski, Elfriede Schempinski. Do szkoły w Germersdorf (Jaromirowice) chodziła Gisela Gierszewski, urodzona 17.11.1928.

Nazwiska polskie, które wynotowałem ze spisu telefonów Guben z 1941 roku, to m.in.:

Brodniewicz Marie, Blumenges., Oststr. 41; Janke A., Sportart., Lindengraben 4; Mikulski Karl, Major a.D., Grüne Wiese 45; Ozegowsky Frieda, Korsett- u. Bandagenges., Herrenstr. 5; Wengelewsky W., Obsthdlg., Haagstr. 3; Wieczorkowski Adolf, Obst- u. Südfruchthdlg., Kupferhammerstr. 76; Wiewiorowski Wilhelm, Dr. med. Dent., Zahnartz, Klosterstr. 11.

W wykazie mieszkańców Guben z 1939 r. spotykamy ponad 120 nazwisk brzmiących z polska: Antkowiak, Antonczyk, Babeliowski, Bandursky, Bartoszek, Braciszewski, Bracyzzewski, Budnarowski, Budschinsky, Budzinski, Bukowski, Buliczak, Chowanski, Cierpińska, Cieszynski, Cybulla, Czempinski, Dombrowski, Dziakowski, Fenglerski, Figura, Goryniak, Gronowski, Jacobowski, Kachelki, Kaczmarek, Karpinski, Kazmierczak, Kaszmierowski, Kazmierski, Krakowsky, Kuklinsky, Kulawik, Kupczyk, Laganski, Lalowski, Lawnik, Lewandowsky, Macpolowski, Madeja, Madrowski, Majerzak, Malicki, Malinsky, Malszewsky, Malzewski, Matecki, Matuschewski, Mielcarek, Mlynarchkowski, Nowacki, Nowaczek, Nowak

(nazwisko najbardziej popularne w Polsce, ale i w innych krajach słowiańskich, głównie w Czechach i Słowenii), Nowakowski, Ozegowski, Pawelczyk, Pawlik, Pawlikowski, Pawłowski, Pawski, Pechota, Pietrowski, Platkowiak, Polske, Poniatowski, Przygoda, Radke, Radowski, Radschikowski, Ratajczak Michael (Michał, motorniczy, zamieszkały przy Crossener Str., pierwszy powojenny burmistrz Gubina), Rosin, Rosowsky, Roszykiewicz, Sakowski, Salefsky, Salewska, Sawinski, Skupka, Sklenicka, Skonieczny, Skorski, Skrzypek, Słominski, Smukowski, Sobczyk, Sobieralski, Sobkowski, Spyra, Sraniewicz, Stachowiak, Stachowski, Stasinski, Stasiwicz, Staskiewicz, Swidlowski, Swoboda, Szepansky, Szymansky, Tomczak, Wabinski, Walkowiak, Waloszczyk, Waloszyk, Wasilewski, Wazlawski, Wensiecki, Werblowski, Wieczorek, Wieczorkowski, Wisniewski, Wisznawitzki, Witkowski, Zakrzewski.

O wyżej wymienionym nazwisku Swoboda w Gubener Heimatbrief 2/1991 (s. 116) jest wymieniony Gottfried ur. 15.07.1925, zamieszkały przy Grüne Wiese 86, Ginstersteig 16.

W przedwojennym Guben były nazwiska, z którymi można spotkać się dziś w Gubinie, jak: Burchardt, Pietsch, Swoboda czy Walkowiak.

Pani Christel z d. Wieczorek, po mężu Schollmeyer, mieszkająca obecnie w Heilbronn, odwiedziła SPZG w maju 2009. Jako dziecko mieszkała z rodzicami przy Moście Północnym (Nordbrücke 1), przy końcu ul. Piastowskiej. Most wybudowano wraz z przylegającym do niego domem w roku 1928. Państwo Wieczorek prowadzili w domu ciastkarnię, gdzie mieszkańcy miasta i turyści z Berlina, przed wejściem na Wzgórza Gubińskie, posili się czekoladą, orzeszkami i kawą.

Analiza zawodów, miejsc pracy ww. osób o polsko brzmiących nazwiskach wskazuje, że wśród nich byli zwykli robotnicy np. w fabryce kapeluszy, ślusarze, fryzjerzy, krawcy, kupcy, praczka, mechanik, robotnik rolny, kucharka, dorożkarz, garbarz, malarz, murarz. Trafili się wśród nich także podoficerowie wojska, oberżysta, kupiec, pielęgniarka, komisarz kryminalny, inżynier budowlany, sztygar, nauczyciel i lekarz.

A w powiecie Guben? We wsi Seitwann (Żytowań) przed wojną mieszkał m.in.: Konietzek. W latach 1921-1929 do szkoły powszechnej w Schernewitz (Czarnowice) uczęszczali m.in.: Willi Bonkowski (nauczyciel Paul Bon-

kowski - zapewne jego ojciec) i Regina Bojaronski.

W klasie 1b liceum dla chłopców w Guben 1938 uczniami byli m.in.: Gerd Brocki, a w klasie 5 katolickiej szkoły powszechnej w Guben - Margarete Sobiralski i Wilski - napisano w Gubener Heimatbrief 2/1995 (s. 92).

Obecnie w Guben także nie brakuje polsko brzmiących nazwisk. Według spisu telefonów z 2007/2008 można spotkać m.in.: Antonczyk, Arentewicz, Baranowski, Baranski, Barutzki, Bielinski, Balszyk, Blazejczyk, Boranski, Boruzki, Budkiewicz, Bukowski, Cichon, Czosnykowski, Dolata, Dombrowski, Drebinski, Drogan, Drozdziok, Dudek, Dulas, Dumalski, Dziuba, Gajda, Galetzka, Gdeczyk, Gesikiewicz, Glinkowski, Godlowski, Golczewski, Golenia, Gordzielik, Grabowski, Grajewski, Grzonka, Grzybowski, Jablonski, Jagiello, Janiak, Janiska, Jankowska, Jarzabek, Jaszewski, Jelonek, Jesikiewicz, Jeziorowski, Kaczmarek, Kaczorowski, Kalebmba, Kasiborski, Kasprzyk, Kmiecik, Kolaska, Kolodziej, Konieczny, Kosciolek, Koslowski, Kotynski, Kovalik, Kraiczek, Krajewicz, Kromorowski, Kubiak, Lakomic, Latuszek, Leschniewski, Lesnicki, Libawski, Losensky, Ludwicki, Lutkowski, Machnik, Malecki, Malszewski, Markowski, Markowsky, Matuszewski, Matysik, Michta, Mielzarek, Mierzwa, Moczulski, Morcinek, Mrzyglodzik, Mudra, Mysliwicz, Nowaczek, Nowerski, Nowitzki, Nowka, Nawrtoth, Nowski, Nozinsky, Osadnik, Ostrowski, Pajaczkowski, Pech, Piasecki, Piatkowski, Pietrucha, Pilat, Piontkowski, Polka, Przybyla, Puder, Raczkowski, Raczynski, Radny, Radomski, Radtke, Ratke, Rogolsky, Rogolski, Roman, Romanczyk, Romankiewicz, Rozyczka, Sadowski, Sajak, Sakowski, Salewsky, Sandrowski, Sawetzki, Sbroja, Schienitzki, Smukalski, Sniegocki, Sobania, Sobczak, Szczesny, Szepanski, Sznura, Szumny, Szymanowicz, Thomaschewski, Tomczak, Torka, Traska, Trzeba, Trzyskiel, Walkowiak, Wanitschka, Wesolowski, Wieche, Wieczorek, Wilczek, Wojciechowski, Wojcik, Wojtas, Wystrach, Zadurski, Zakrzewski, Zdunski, Zmudczynski, Zyminski.

W Peitz książka telefoniczna wymienia m.in.: Banowski, Bartel, Bera- nek, Blaszyk, Broda, Dycha, Gargula, Groch, Gutowski, Jablonski, Kubitzki, Kuchar, Kulka, Kwiatkowska, Mucha, Nowak, Nowka, Pichowsky, Piepka, Pioretzki, Pluta, Pyka, Pyrczek, Radetzki, Radimersky, Ratzki, Schikorra, Smolibowski, Smurawski, Sobainski, Sobanski, Strzodka, Swat, Swierczek, Tomczyk, Walosik, Wieczorek, Wisniewski, Zibula. W Jenschalde jest kilku Rosińskich, a w Kerkwitz Gradinarski, Kolaska i Nierodzik.

W gubeńskim Neisse Echo (25/grudzień 2008) poinformowano mieszkań-

ców, iż 65. urodziny obchodzi Wolfgang Lewandowski, Bärbel Grabowski, a 70. urodziny - Mirosława Roslewska-Knöpfe i Maria Kozyrowski. Pani Ingeborg Jurczyk ukończyła 85 lat. W numerze 20/2009 tejże gazety podano, że w październiku 65. urodziny obchodziła Frau Krystyna Samol. W kwietniu 2010 kolejne serdeczne życzenia od burmistrza Guben odebrał na łamach prasy samorządowej 80-letni Stefan Rzyski. (wł)

## Przez Nysę do Gubina



**Kilka numerów wcześniej pisaliśmy o polskim czołgicie, który podjął się ucieczki czołgiem na Zachód. Mieszkańcy krajów demokracji ludowej, często nazywanych "demoludami", nie zawsze uciekali na Zachód. Zdarzały się też ucieczki na Wschód.**

O takim przypadku przypomniał dr Zygfryd Gwizdalski: - Była to chyba połowa lat 60. XX wieku. Żołnierz eneradowskiej Policji Granicznej (niem. Deutsche Grenzpolizei) skoczył do Nysy Łużyckiej i przepłynął na polską

stronę, niedaleko południowego mostu kolejowego, w pobliżu budynków ówczesnej Spółdzielni Inwalidów przy ul. Piwnej. Wychodząc na brzeg, skaleczył się drutami kolczastymi i wymagał interwencji lekarza. Z tego to powodu znalazł się w gubińskim szpitalu. W jaki sposób - nie pamiętam. Może ktoś go przywiózł do szpitala na Śląską. W trakcie opatrywania rannego do sali wkroczyli gubińscy wopiści, zaraz po nich zjawili się Niemcy. Byłem wówczas dyrektorem szpitala. Chciałem zatrzymać go, żołnierz był wyziębiony, okaleczony, ale oni powiedzieli: - *Też mamy szpital*. Moje opory na nic się zdały. Niemcy zabrali swojego pogranicznika. Młody Niemiec płakał, ale nie pomogło. Dlaczego uciekł? Uważał, że w Polsce żyje się lepiej. Nie chciał mieszkać i żyć w NRD, prosił o przechowanie: - *Bo będą mnie ścigać*. Niestety - jego enerdownscy przełożeni nie przystali na tę propozycję. Wrócił na ojczyznę łono.

Z Polski przedostawano się na Zachód regularnie. Często na szlaku ucieczki był Gubin.

Uciekali cywile i mundurowi, prości ludzie i wielcy dygnitarze. Z przykładów można stworzyć kilka publikacji. W 1951 r. ucieczka grupy żołnierzy WOP zakończyła się tragicznie. Trzy lata później śladem ich udało się troje Niemców mieszkających w Polsce. Do wyboru była katorżnicza praca w kopalni jako zastępcza służba wojskowa, albo ucieczka z Polski. W stanie wojennym, po 1981 r., także chciano być z daleka od PRL. M.in. kapitan LOT-u Czesław Kudlek uciekł samolotem.

Sześć dni po wprowadzeniu stanu wojennego Mirosław Szewc, 30-letni rolnik z Borowiny gmina Szprotawa, przepłynął Nysę koło Gubina. Jak napisał w ideologicznie i propagandowo poprawnym wówczas artykule autor o inicjałach Z. Sz. (Gazeta Lubuska 4.03.1982): "dostał suche ubranie od obywatela NRD, do którego wszedł na chybił trafił, poczem na gapę udał się pociągiem do Berlina. W Berlinie trafił do Ambasady Republiki Francuskiej, gdzie poprosił o azyl polityczny".

Azyl dostał, ale władze NRD nie wyraziły zgody na jego wyjazd w kierunku zachodnim. Polak zgłosił się następnie do konsulatu polskiego i na paszporcie konsularnym wrócił do kraju, gdzie - oczywiście - na granicy został aresztowany. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Zielonej Górze skazał go na 4,5 roku pozbawienia wolności i trzy lata pozbawienia praw publicznych. (wł)



**Praca na VI konkurs Ośrodka KARTA  
"Obcy wśród swoich - doświadczenie XX wieku"  
napisana pod kierunkiem Jarosława Winkowskiego,  
nauczyciela Publicznego Gimnazjum w Czarnowicach.**

**Katarzyna Korsan - Czarnowice 2002**

## **OBCY W SWOIM DOMU? Opowieść Huberta**

### **WSTĘP**

Życie przygotowuje dla nas zaskakujące niespodzianki, a ludzkie losy są nierzadko gotowymi scenariuszami filmów, które obejrzelibyśmy z zapartym tchem. Najprawdopodobniej było tak zawsze, ale wiek XX jest chyba - ze względu na liczne konflikty toczące się w wielu rejonach świata, a także czas naszego życia - pod tym względem szczególny. To właśnie te konflikty, te, o których małej tylko części uczymy się na lekcjach historii, stały się dla olbrzymiej rzeszy ludzkich istnień teatrem, na scenie którego rozgrywały się ich własne, często tragiczne losy. A przecież właśnie takie "małe", osobiste i jak najbardziej prywatne doświadczenia ludzi, którym dane było żyć w ważnych dla dziejów czasach, na dzieje te właśnie się składają i są chyba najcenniejszą ich treścią.

Mieszkam w małej wiosce na Ziemi Lubuskiej, która, tak jak inne części ziem przyłączonych do Polski po II wojnie światowej, w ostatnich miesiącach tej wojny i w pierwszych latach po jej zakończeniu była areną, na której rozegrało się wiele ludzkich dramatów. Poza samymi działaniami wojennymi, które przyczyniły się do zniszczenia olbrzymiej ilości czyichś domów rodzinnych, po przejściu frontu pozostał do rozwiązania trudny problem ludności mającej na tych ziemiach zamieszkać. Należało wysiedlić olbrzymią ilość Niemców, a na ich miejsce sprowadzić polskich osadników. Tego tragicznego momentu w historii Polski i Niemiec, ale przede wszystkim osobistych dramatów wysiedlonych Niemców i przesiedlonych Polaków dotyczy ta praca.

Swoje badania oparłam na wspomnieniach Huberta Grajewski, niegdyś mieszkańca "perły Łużyc Dolnych" (jak nazywano przedwojenne Gu-

ben), a dziś obywatela zachodniej części podzielonego miasta. Opisałam tragiczne losy małego chłopca, który znalazł się na początku 1945 roku w środku wydarzeń mających olbrzymie znaczenie dla losów państw Europy, a nawet świata. Właśnie wspomnienia pana Huberta dotyczące czasu wojny i wydarzeń rozgrywających się bezpośrednio po niej pozwalają na opisanie jego historii w ramach tegorocznej edycji konkursu poświęconego "historii bliskiej" - był on bowiem świadkiem, ale także bezpośrednim uczestnikiem wysiedlenia ludności pochodzenia niemieckiego z Ziemi Gubińskiej i samego miasta. W tym sensie przez szereg lat w swojej "małej ojczyźnie" był obcy.

Los nie szczędził Hubertowi w młodości przykrych niespodzianek, lecz mój bohater potrafił wyciągnąć z życiowych doświadczeń naukę. Dziś jest obywatelem wzorcowego Euromiasta Gubin-Guben i równie dobrze czuje się w obu jego częściach. Sam nauczył się języka polskiego i jest z posiadania tej umiejętności szczerze dumny. Właśnie metamorfozie postawy młodego Niemca, który sądził przez długi czas, tak samo zresztą jak wielu innych jego rodaków, że za osobiste powojenne porażki należy winić Polaków, poświęcona jest dalsza część pracy.

Historię Huberta, której wysłuchałam i którą spisałam w styczniu 2002 roku w jednej z gubińskich restauracji, starałam się przedstawić na tle szerszych wydarzeń rozgrywających się na późniejszej Ziemi Lubuskiej lub bezpośrednio jej dotyczących, a wiedzę na ten temat zaczerpnęłam z opracowań poświęconych dziejom powojennym (np. "Historia najnowsza. Świat i Polska 1939-1997/98" Leszka Podhorodeckiego czy Jerzego Krasuckiego "Europa Zachodnia. Dzieje polityczne 1945-1993"). W celu weryfikacji niektórych fragmentów opowieści pana Huberta skorzystałam z nielicznych dostępnych pozycji polskojęzycznych poświęconych problemowi wysiedlonych z polskich Ziemi Zachodnich i Północnych Niemców, jak na przykład prace Bernardetty Nitschke czy wspomnienia świadków historii tamtego czasu zawarte w biuletynie TRANSODRA z końca ubiegłego roku.

Praca niniejsza, choć pisana na konkurs, świetnie wpisuje się w obecne działania mojego gimnazjum podjęte na rzecz wyboru patrona. Jedną z propozycji imienia są Przesiedleńcy, do których z całą pewnością należy też zaliczyć wysiedlonych z Gubina i okolic Niemców.

## OPOWIEŚĆ HUBERTA

Hubert Grajewski przyszedł na świat 29 października 1937 roku w rodzinnym domu na ulicy Siedlerwege w prawobrzeżnej części Guben. Do domu tego Familie Grajewski przeprowadziła się zaraz po oddaniu budynku do użytku. Szczęśliwa rodzina otrzymała pozwolenie na zamieszkanie na osiedlu małych domków, gdyż wszystkie one miały być (w myśl narodowosocjalistycznych decydentów) przeznaczone dla rodzin wielodzietnych, a do takich zaliczała się rodzina małego Huberta. Oprócz Huberta, który był przedostatnim dzieckiem Paula i Marii, rodzice cieszyli się jeszcze sześciorgiem dzieci: Aloisem (ur. w 1927 roku), Magdaleną (1930), Johannesem (1931), Thomasem (1933), Reginą (1935) i Marią Theresią (1940). Ojciec siódemki dzieci przyjechał do Guben w poszukiwaniu pracy, którą znalazł na miejskim dworcu kolejowym, a matka pochodziła z jednej z podgubeńskich wiosek i zarabiała na życie jako krawcowa. Swoje polsko brzmiące nazwisko sam Hubert tłumaczy pradziadkiem, który pochodził z Piły, "a tam obok siebie mieszkali i Polacy, i Niemcy", więc możliwe jest, że znalazłby się wśród dalszych przodków Huberta także jakiś Słowianin.

Hubert Grajewski pamięta niewiele z czasu, gdy mieszkał w domu rodzinnym, lecz to, co mu w pamięci zostało jest wyraźne i wzbudza w nim do dziś silne emocje i nieukrywane wzruszenie. Bardzo dobrze zapamiętał olbrzymi w oczach małego chłopca ogród przy domu (ok. 1000 m<sup>2</sup>), na którym spędzał razem z rodzeństwem większość czasu. Zachowane do dziś na osiedlu w Komorowie domki, przeznaczone pierwotnie dla rodzin wielodzietnych, zdecydowanie nie spełniały swojej funkcji z powodu zbyt małego metrażu. To był główny powód bardzo częstego pobytu Huberta i jego rodzeństwa na podwórzu. Świetnie zapamiętał piesze rodzinne eskapady pod opieką ojca na grzyby czy jagody do oddalonych od domu o około 8 km lasów w okolicach dzisiejszego Dzikowa. Choć nie byli bogaci, wspomina najmłodsze lata jako szczęśliwe, ale przede wszystkim bezpieczne.

Pierwsze wspomnienia związane z wojną bezpośrednio kojarzą się Hubertowi ze szkołą. W 1944 roku był on uczniem klasy pierwszej i doskonale pamięta przeloty alianckich samolotów nad miastem, podczas których nauczyciele kazali się uczniom chować do piwnicy budynku szkolnego, który zresztą stoi w Gubinie do dziś. Nieświadome do końca zagrożenia dzieciaki modliły się w duchu o jak najdłuższe loty nad miastem, gdyż to automatycznie skracało czas, który musiały jeszcze poświęcić na naukę.

Rodzina Grajewski była katolicka i czas beztroski wiąże się Hubertowi także z bardzo długą drogą do jedyne go katolickiego kościoła w mieście, do świątyni parafii pod wezwaniem Świętej Trójcy położonej bardzo daleko od domu, w centrum dużego wówczas miasta, niedaleko Nysy Łużyckiej. Kościół, do którego przychodził Hubert jako małe dziecko na nabożeństwa, dziś także jest pod wezwaniem Świętej Trójcy. Rodzina była zżyta, utrzymywała ze sobą częste kontakty. Hubert wspomina odwiedziny dziadków oraz ciotki i jej czwórki dzieci.

Piękne, zielone miasto, tak samo jak czas niezmaconej dziecięcej beztroski młodego Niemca minęły bezpowrotnie na początku 1945 roku. W styczniu dowództwo Armii Czerwonej zdecydowało o podjęciu bardziej dynamicznych działań mających zakończyć się jak najszybszym zdobyciem stolicy III Rzeszy. Bardzo szybko walki dotarły w rejon Środkowego Nadodrza - obszaru oszczędzonego w zasadzie dotąd przez światowy konflikt. W połowie lutego wojska radzieckie zajęły Krosno Odrzańskie i z przyczółka utworzonego na lewym brzegu rzeki Bóbr 17 lutego rozpoczęło się natarcie na Guben. Miasto, w którym stacjonował silny garnizon zamieniono w twierdzę - jedną z trzech broniących na linii Odra-Nysa Łużycka dostępu do Berlina. Zdecydowane porażki armii niemieckiej na przełomie 1944 i 1945 roku zmusiły w końcu lokalne władze w Brandenburgii do wydawania nakazów ewakuacji. Ziemię Lubuską na początku 1945 roku opuściło aż około 70-80% ludności.

Hubert Grajewski dosyć dobrze pamięta ewakuację Gubina przeprowadzoną w połowie lutego. Uciekinierzy mogli zabrać ze sobą sporo najpotrzebniejszych rzeczy. Dzieci niosły pełne plecaki, a do okryć wierzchnich matka przyszyła im naszywki zawierające podstawowe dane. Z miasta wyjechali pociągiem w kierunku zachodnim. Właśnie pociągi (obok zaprzęgów konnych) stanowiły najpowszechniejszy środek transportu uciekinierów. Skład, którym podróżowała rodzina Grajewski (już bez ojca i najstarszego syna Aloisa, którzy służyli wówczas na froncie zachodnim) zatrzymał się na dłużej koło Cottbus ze względu na bombardowanie miasta. Po nalocie podróż kontynuowano.

Miejscem, w którym na około trzy miesiące osiadła rodzina Huberta była wieś Gehren położona koło miasta Luckau, około 100 km od rodzinnego miasta. Zamieszkali u państwa Großmann, bogatych gospodarzy rolnych, którzy dali matce z szóstką dzieci pokój, ale także zapewnili dostatek jedzenia, którego nie zawsze starczało dla ewakuowanych w głąb kraju Niemców. Tak gospodarze, jak i ich najbliżsi (córka i jej babcia) okazywali rodzi-

nie Huberta wiele życzliwości. Zabronili im jeść małych ziemniaków przeznaczonych do karmienia świń, oferując dorodne, dzielili się niezwykle cennym wówczas mięsem. Właśnie mięso małemu chłopcu utkwiło głęboko w pamięci. W czasie, gdy do Gehren zbliżał się front, państwo Großmann ukryli pod siennikami dziecięcych łóżeczek całe zapasy wędlin, wychodząc z założenia, że rewidujący dom żołnierze nie będą szukać jedzenia w pokoju zajmowanym przez samotną matkę - uciekinierkę z gromadką dzieci. O smacznych wędlinach dzieciaki dowiedziały się dużo później i nie mogły zrozumieć, jak ich mogły nie znaleźć...

Przejsie frontu kojarzy się dziś panu Hubertowi najsilniej z dwoma wydarzeniami, o których nigdy nie zapomni. W miarę zbliżania się Armii Czerwonej coraz częściej usłyszeć można było niesamowite opowieści o postępowaniu Rosjan wobec Niemców, także cywilów. Uciekinierzy z terenów położonych bardziej na wschód opowiadali o mordach, gwałtach i grabieżach, o znęcaniu się nad złapanymi podczas uciezki niemieckimi rodzinami. Panika była powszechna. Nic więc dziwnego, że udzieliła się także mieszkańcom wioski Gehren. Pierwszy raz, gdy do wioski zbliżyły się oddziały radzieckie, większość jej mieszkańców skryła się do pobliskiego lasu, aby po prostu przeczekać zagrażające niebezpieczeństwo. Drugi kontakt z wojskiem sowieckim miał już bardziej bezpośredni i dramatyczny charakter. Na wieść o nadchodzących w kierunku wsi oddziałach wojskowych duża część mieszkańców osady przysłała do domu państwa Großmann, by razem stawić czoła temu, co przyniesie im najbliższa przyszłość. Żołnierze szybko zorientowali się, gdzie ukryci są mieszkańcy i niebawem do kuchni, gdzie zgromadziła się większość społeczności, wszedł radziecki oficer. Strach był paraliżujący. Hubert pamięta przeraźliwy płacz swojej młodszej siostry Marii Theresii. Spodziewali się najgorszego. Oficer zaczął mówić do zgromadzonych ludzi o mordach dokonywanych przez Niemców na Wschodzie, o zabójstwach na dzieciach, które zabijano uderzeniem o ścianę, trzymając je za nóżki, o ich rozstrzeliwanych matkach, powszechnym bestialstwie. Na koniec powiedział też, że sam nie będzie postępował w taki sposób, jak niemieccy mordercy i wyszedł. Wrócił po kilkunastu minutach ze sporą ilością jedzenia, które dał zgromadzonym. Zaskoczenie było ogromne. Dziś Hubert mówi, że to cud, iż trafili na takiego dowódcę, że "w każdym narodzie są różni ludzie - dobrzy i źli". On spotkał na swojej drodze dobrego człowieka.

Kolejne spotkanie z sowietami naznaczone było troską o cześć i życie starszej siostry mego bohatera Magdaleny (miała w 1945 roku 15 lat) i córki gospodarzy (18 lat). Gdy do wioski wchodził duży oddział wojska, zdano sobie sprawę z niebezpieczeństwa gwałtu. Troska o dziewczyny zmusiła rodziców do podjęcia decyzji o ich ukryciu. Wybór padł na stodołę pełną siana i sprzętów gospodarskich. Kazano im się schować pod plandekę osłaniającą kombajn, co też obie uczyniły. Gdy do gospodarstwa weszło zmęczone wojsko, dowódca zarządził odpoczynek i polecił położyć się swoim żołnierzom w stodole, w której ukryły się dziewczęta. Kolejne godziny upływały w strachu o obie córki. Nagle dorosli zdali sobie sprawę z pyłu i kurzu, które musiały pokrywać maszynę i obawiano się, czy któraś z ukrytych nie kichnie bądź zakasze. Przerażenie minęło po północy, o której dzwon miejscowego kościoła dał sygnał do wymarszu wojska. To dla Huberta kolejny cud, którego wartość trudno przecenić.

Po przejściu frontu, pod koniec kwietnia, pani Klara Grajewski zdecydowała się opuścić dobrych gospodarzy, z którymi tak wiele przeżyć łączyło jej rodzinę. Na drogę do Guben dostali od Großmannów spory zapas żywności. Powrót odbywał się pieszo i trwał cztery dni. Mijali po drodze mnóstwo ludzi. Spotkali też znajomego z komorowskiego osiedla, który powiedział Klarze, że ich dom został w wyniku działań wojennych zniszczony i nie ma po co do Guben wracać. Mimo tego szli dalej. Do miasta dotarli 2 maja. To, co ukazało się ich oczom, wprawiało w przerażenie. Guben nie przypominało już "miasta ogrodów", tylko jedno wielkie gruzowisko, po którym snuli się zdezorientowani ludzie. W wyniku decyzji Hitlera zamieniającej miasto w twierdzę i w konsekwencji walk prowadzonych w prawobrzeżnej części Gubina od 18 lutego do 16 kwietnia miasto uległo zniszczeniu w około 90 %, co stawia je wśród najbardziej poszkodowanych pod tym względem dużych ośrodków na Ziemi Lubuskiej. Ostatniego dnia walk prowadzonych w części wschodniej wysadzono też wszystkie mosty na Nysie Łużyckiej.

W związku z informacją o zniszczeniu domu rodzinnego Familie Grajewski zatrzymali się w części zachodniej. Rodzin takich jak ich było wiele, trudno było więc o puste mieszkanie w zniszczonym mieście. Mimo tego udało się matce znaleźć małe lokum, w którym mieszkali około tygodnia. Po tym czasie, chcąc upewnić się o prawdziwości informacji uzyskanej podczas powrotu, postanowiła wyprawić się na drugą stronę razem z synami. Wielkie było zaskoczenie rodziny, gdy okazało się, że dom stoi prawie nietknięty. Szybko przeprowadzili się na Siedlerwege.

W rodzinie zapanowała radość. Wrócili po długiej tułaczce "do siebie", minęło frontowe zagrożenie, można było zacząć żyć normalnie. Brakowało tylko ojca i brata Aloisa. Wszyscy zabrali się do pracy. Wyszukano w pobliskim rumowisku pasujące do ich futryny drzwi (oryginalne zabrali żołnierze budujący bunkier), zaczęto porządkować ogród, który planowano ponownie zagospodarować. Jedynym problemem bieżącym rodziny była szpara nad drzwiami, która stwarzała groźbę włamania. Hubert pamięta, jak matka wiązała kłamkę do swojego łóżka, co miało jej zasygnalizować zbliżające się niebezpieczeństwo. Najważniejsze jednak było, że udało się im przetrwać najgorsze. Wierzyli w lepsze jutro i czekali na nie.

Dzień 20 czerwca 1945 roku zlał się w pamięci Huberta Grajewski w jedną koszmarną całość. Jest jak film puszczany w zwolnionym tempie, który zatrzymuje się na niektórych obrazach. Na tych najbardziej bolesnych.

Film zaczyna się od koldry, którą matka wywiesiła rano do wietrzenia, gdyż był to naprawdę piękny wiosenny dzień. Przed południem gościli ciotkę, która towarzyszyła pani Klarze podczas przygotowywania posiłku. Hubert ze starszym bratem poszli po wodę do jedynej w tej części osiedla w Komorowie czynnej pompy. Gdy powrócili, zajęli się zwykłymi codziennymi czynnościami. Pogoda nastrajała wszystkich bardzo optymistycznie. W pewnym momencie sielanka zostaje drastycznie przerwana. Na podwórku stają polscy żołnierze z karabinami gotowymi do strzału. Polecenia wydawane przez jednego z nich są krótkie, a jednocześnie bardzo jasne. Mają w ciągu dziesięciu minut opuścić swój dom i udać się wraz z innymi Niemcami na lewobrzeżną część miasta. Hubert do dziś podziwia matkę za szybkość działania. Dziwi się, jak można było się w tym momencie nie załamać i zaraz sam sobie odpowiada, że nie było wtedy czasu na płacz. Matka zabrała najważniejsze dokumenty, płaszcze, trochę jedzenia, parę cenniejszych przedmiotów (np. krzyż - prezent ślubny) i koldrę... Szli dzisiejszą ulicą Kresową, a następnie Grunwaldzką, wzdłuż rzeki Lubszy nad Nysę Łużycką. Takich jak oni, wypędzanych Niemców było bardzo dużo. Łączyli się w większe grupy - "Tracki", w których razem szli w nieznaną. Nie było żadnej organizacji wysiedlenia, gdyż nie było czasu na jej przygotowanie. Kazimierz Ostrowski, jeden z pierwszych gubińskich pionierów, wspomina, że sam prowadził ponad półtoratysięczną kolumnę wysiedlonych Niemców do mostu w Słubicach aż spod Cybinki. Władze nowej Polski zdecydowały się na wywłaszczenie i wysiedlenie Niemców z terenów położonych w bezpośredniej bliskości

Odry i Nysy Łużyckiej na dużo wcześniej, niż zapadły w Poczdamie odpowiednie decyzje regulujące sprawy narodowościowe. Przeznaczenie tego terenu pod osadnictwo wojskowe tłumaczy w pewnym sensie pośpiech, chaos i dużą samowolę wykonujących rozkazy żołnierzy. Gubin i jego okolice były jednymi z pierwszych obszarów objętych tą akcją.

Kilkukilometrowa droga była dla Huberta i jego rodziny strasznym przeżyciem. Po drodze na wąskiej ulicy Grunwaldzkiej mijały ich radzieckie czołgi, oddziały i stada prowadzonego przez zwycięzców. Radzieccy żołnierze spośród mijanych grup Niemców wybierali młodych chłopców do pędzenia i oporzadzania zwierząt. Wskazywali na wybranego, który miał chwilę na pożegnanie się i zabierali go ze sobą. Nieraz na zawsze. Tę relację potwierdza w swoich wspomnieniach inny wysiedlony z okolic Gubina Niemiec, który uciekając ze wsi Haaso (dziś Jazów), został do podobnej pracy wyznaczony, ale udało mu się niebawem uciec i wrócić do rodziny.

Po dotarciu do Nysy grupy Niemców kierowane były na prowizoryczny most zbudowany przez wojsko na końcu dzisiejszej ulicy Piastowskiej. Bardzo długo zdezorientowana rodzina Grajewski czekała na przeprawę, przed którą należało poddać się kontroli polegającej w rzeczywistości na zagrabieniu tego, co w pośpiechu udało się z domu zabrać. Przy moście Hubert widział wiele tragicznych scen. Pamięta zło, jakie wysiedlanym wyrządzali polscy żołnierze podczas przeprawy. Widział wozy ciągnięte przez całe rodziny, bo tuż przed mostem zabrano im konia, widział zabieraną wprost z rąk, uszu czy szyi biżuterię, ale zapamiętał też ludzkie serce okazane jego rodzinie przez polskiego żołnierza ("wszędzie są ludzie dobrzy i ludzie źli"). Żołnierz ów sprawdzając portfel pani Klary, zauważył w nim medalik ze świętym Józefem i zapytał, czy są katolikami, a po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi nakazał przepuszczenie całej rodziny bez dalszej kontroli. Dzięki temu Hubert Grajewski ma w swoim mieszkaniu w Guben jedną z najcenniejszych pamiątek rodzinnych - krzyż, który w prezencie ślubnym 23 października 1926 roku otrzymali jego rodzice. Nieznanemu polskiemu żołnierzowi jest do dziś za tę chwilę niewymownie wdzięczny.

Po przejściu na zachodnią część miasta stał się na swoim osiedlu i w swoim domu na wiele dziesięcioleci obcy. Pozbawiono go "małej ojczyzny" - Heimatu, do którego bardzo, tak jak wielu innych Niemców, tęsknił. Pozbawiono go przyszłości, którą układali dla niego jego rodzice.



Pierwsze dni spędzone na lewobrzeżnej części miasta były koszmarem. Nikt nie był przygotowany na przyjęcie takiej rzeszy ludzi. Brakowało wszystkiego - od mieszkań po jedzenie i przedmioty codziennego użytku. Matka Huberta rozpoczęła poszukiwania wolnego mieszkania, które zakończyły się sukcesem. W czternaście osób (oprócz pani Klary i jej szóstki dzieci zamieszkali razem z dziadkami oraz ciotką z czwórką własnych dzieci) zajęli wolny pokój, albo dwa (dziś pan Hubert nie pamięta dokładnie). Było im bardzo ciężko. Poznali głód, który miał towarzyszyć rodzinie przez następne kilka lat. Po kilku dniach matka znalazła dla siebie i dzieci inne wolne mieszkanie, nad samą rzeką, i przeprowadzili się do niego (Hubert Grajewski mieszka w nim do dziś). W mieszkaniu był schowek, w którym trzymali jedzenie, ale po raz pierwszy w życiu małego chłopca było ono zamykane na kłódkę. Jak sam dziś mówi: "myślało się tylko o jedzeniu". Każdy członek rodziny otrzymał kartki na chleb - pół kilograma na tydzień i może jeszcze trochę mąki (dziś nie jest Hubert pewien). Głód czuli ciągle i wszystkie działania całej rodziny podporządkowane zostały zdobyciu pożywienia. "Horror".

Jedna z kuzynek pracowała w pierwszych latach po wojnie w państwowej spółdzielni rolnej i informowała panią Klarę, że skończyły się właśnie żniwa, albo wykopki i można zebrać to, co po zbiorach na polach pozostało. Matka pisała wówczas dzieciom zwolnienia z powodu choroby i wysyłała osiem kilometrów pieszo do wsi Lauschütz, by zebrały z pola ziarno, albo przeoczone przez robotników ziemniaki. W ciągu tygodnia udawało się dzieciom czasem zebrać ok. 50 kg ziaren żyta. To było nieopisane szczęście. "Jedzenie było najważniejsze".

Wigilia 1946 (albo 1947) roku utkwiała Hubertowi głęboko w pamięci. Rodzina nie miała nic do jedzenia, więc matka z samego rana wybrała się na poszukiwanie czegoś do jedzenia. Na pieszo odwiedzała rolników w okolicznych wsiach, ale niczego nie mogła dostać. Późnym wieczorem ("gwiazdy już były na niebie") powróciła z mocno zabrudzonym ziarnem, które pozwolił jej zabrać jeden z gospodarzy. Bardzo długo przebierali zdobycz, by zjeść upragniony wigilijny posiłek - gotowane ziarna zboża. "To było szczęście, którego dziś nie można do końca zrozumieć".

Przez pierwsze lata po wysiedleniu rodzina żyła w niepewności. Nie wychodziła w Guben gazeta, nie odbierano radia, ludzie byli niedoinformowani. Codziennie pytali siebie wzajemnie, czy wiadomo już coś w sprawie po-

wrotu do przedwojennych domów. "Byli wciąż spakowani", wciąż żyli nadzieją na powrót do domu, "do siebie". Wiarę w odzyskanie dla Niemiec utraconych w wyniku wojny ziem podsycali władze Niemiec, ale także forum międzynarodowe. We wrześniu 1946 roku amerykański sekretarz stanu James Byrnes, przemawiając w Stuttgarcie, oświadczył, że polska kontrola nad ziemiemi na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej nie jest jeszcze ostatecznie przesądzona. W podobnym duchu utrzymana była w 1950 roku majowa wizyta pierwszego prezydenta Niemieckiej Republiki Demokratycznej, urodzonego w Guben Wilhelma Piecka. Hubert Grajewski pamięta pochód, na którego czele szedł razem z mieszkańcami miasta sam przywódca państwa bez jakiegó szczególnej ochrony. Rozmawiał on z ziomkami, przyjmował kwiaty, był uwielbiany. Na stadionie miejskim, gdzie kończyła się pierwszomajowa demonstracja, wygłosił przemówienie, w którym obiecywał mieszkańcom Guben podobną imprezę za rok, na Baumblüte (w porze kwitnienia drzew), ale już po wschodniej stronie miasta, które w całości należeć będzie do Niemiec. Pieck rzeczywiście gościł w maju, w swoim rodzinnym mieście, ale tym razem, wobec niespełnionych obietnic, wizyta przebiegała zupełnie inaczej. Nie wolno było się do prezydenta zbliżyć, nie pozwolono rzucać w jego stronę kwiatów, nie poruszał już przywódca podjętego w roku poprzednim tematu powrotu na ziemię ojców.

Sytuacja ta świetnie oddaje nastroje panujące nie tylko wśród Niemców mieszkających w podzielonym Guben, ale jest charakterystyczna dla wszystkich, którzy utracili swoje mieszkania na rzecz Polaków. Pan Hubert zapytany o swój stosunek do Polaków w tym okresie mówi, że był on jak najbardziej zbieżny z poglądami innych skrzywdzonych Niemców. Mieli oni Polakom za złe, że mieszkają w ich domach, używają ich sprzętów, nierzadko w tych trudnych powojennych latach noszą ich ubrania. Niektórzy wysiedleni organizowali się w grupy i próbowali przekroczyć granicę, ale kontrola była tak szczelna, że szybko takie grupy trafiały do polskiego aresztu, skąd przekazywano je do Guben. Żal było patrzeć przez graniczną rzekę na ruiny starego, o średniowiecznym rodowodzie miasta, którego nie próbuje się naprawiać, a wręcz przeciwnie - rozbiera i niszczy to, co po tragicznym początku 1945 roku pozostało. Serce ścisnęło, gdy widziało się demontowane szyny tramwajowe i prace rozbiórkowe prowadzone w celu pozyskania cegieł na odbudowę polskiej stolicy. Wielu, szczególnie starszych Niemców nie mogło się pogodzić z brakiem możliwości odwiedzenia grobów najbliższych, co było ich wielkim osobistym dramatem. Nienawiść do Polaków panoszących się w

rodziny domach ludzi, którzy patrzyli na to zza granicy, była ogromna, a potęgowała ją dodatkowo bezsilność wypędzonych, którzy mogli tylko wspominać i rozpamiętywać poniesione straty. Hubert mówi jednak, że dziś widzi to inaczej. "To był przecież szczególny czas. Inaczej się wtedy człowiek zachowuje i inaczej myśli". Sądził wówczas mój bohater, że na zawsze już utracił swoją ojcowiznę, że nie odwiedzi już swojego domu przy Siedlerwege (dziś ul. Okrzei) i że nigdy z granicy nie znikną uzbrojeni żołnierze obu państw, a olbrzymie żale nie zostaną przebaczone i zapomniane. Normalne życie nie będzie już możliwe.

Przez dwie dekady "dojrzewał" Hubert Grajewski do wydarzeń, które diametralnie odmieniły życie 64-letniego dziś obywatela Guben i Gubina. Jako człowiek głęboko wierzący zawsze związany był Hubert Grajewski z kościołem. W 1966 roku udało mu się dostać w skład delegacji niemieckiej młodzieży katolickiej na wyjazd do Zakopanego. Ideą spotkania było nawiązanie dialogu pomiędzy młodym pokoleniem różnych państw. Jak dziś wspomina uczestnik tamtej wyprawy do Polski, zamiar ten powiódł się w stu procentach. Kilka dni spędzonych w Polsce przepełniała przyjaźń i wzajemne zrozumienie. Poznał wówczas młody Niemiec wiele osób, z którymi utrzymuje żywe kontakty do dnia dzisiejszego. Okazało się, że Polacy są takimi samymi ludźmi, jak Niemcy i mają bardzo podobne problemy i marzenia. Za szczególnie cenną uważa pan Hubert zapoczątkowaną wówczas znajomość z dzisiejszym biskupem Noskiem, wtedy słuchaczem seminarium duchownego. Granicę delegacja przekraczała w Zgorzelcu, nad czym mieszkańiec nadgranicznego przecież miasta ubolewał. Oprócz Zakopanego zwiedził w 1966 roku także Częstochowę, Kraków i Gliwice, i miasta te zrobiły na nim duże wrażenie.

Człowiek, który przeżył jako dziecko przejście frontu, doświadczył głodu i poniżenia podczas wysiedlenia, utracił dom rodzinny, choć żył tylko kilka kilometrów od miejsca swojego urodzenia, za najważniejszą datę w swoim życiu uważa rok 1967, a za mające na jego dzisiejszą postawę największy wpływ wydarzenia związane z kolejną wyprawą do Polski.

Ksiądz wykładający w seminarium koło Eisenhüttenstadt (niedaleko Guben), który był organizatorem pierwszej wyprawy Huberta do Polski, obiecał grupie zaprzyjaźnionej młodzieży wycieczkę do Pragi w roku następnym, ale znajomi odwiedzili stolicę Czechosłowacji wcześniej sami. Postanowili poprosić o wyjazd do Warszawy. Duchowny zgodził się, ale nie mógł im

towarzyszyć ze względu na sesję egzaminacyjną, którą przeprowadzał. Zobowiązał się pożyczyć zapaleńcom swój zachodni samochód, co szczególnie ich ucieszyło. Był jednak warunek - mieli zawieźć zaprzyjaźnionemu księdzu profesorowi Ludwikowi Stefaniakowi, wykładowcy na Uniwersytecie Warszawskim, przesyłkę (jak się później okazało, sporą ilość pieniędzy). Tym razem granicę przekroczyli w Słubicach, a trasa wycieczki objęła Gdańsk, Bydgoszcz, Toruń i Warszawę, w której udało się nawet młodemu Niemcom porozmawiać z kardynałem Stefanem Wyszyńskim, "prawdziwym przywódcą Polaków, prezydentem". Pamiątkę po tym spotkaniu przechowuje Hubert do dziś. W drodze powrotnej do Niemiec żartowali sobie, że gdyby otrzymali zaproszenie na rozmowę z Władysławem Gomułką, to z pewnością by odmówili, gdyż rozmawiali przecież z Wyszyńskim.

Już na Ziemi Lubuskiej Hubert zaproponował zboczenie nieco z trasy wycieczki i odwiedzenie jego rodzinnych stron. Mimo że byli już spóźnieni o kilka dni, to jednak zdecydowali się to zrobić. Wizyta w Gubinie, w 1967 roku była pierwszą od dnia wysiedlenia, od 20 czerwca 1945 roku. Znalazł się Hubert na ulicy Okrzei i stał przed czymś ogrodem, na którym stał kiedyś jego dom (wiedział już jakiś czas, że dom z niewiadomych powodów dużo wcześniej wyburzono). Nie było już nawet śladów zabudowań. Mimo że większość sąsiednich budynków zachowała się w stanie nienaruszonym, jego domu nie było. Rozpoznał jabłoń niezmiennie rosnącą w tym samym miejscu, co w czasach jego dzieciństwa, przypominała się woda, którą przynosił z bratem do obejścia, kółdra...

Spędził przed obcym już, choć bliskim sercu ogrodem kilkanaście minut i ruszyli dalej, do parafii Świętej Trójcy, gdzie chciał Hubert Grajewski spytać o przedwojenne dokumenty dotyczące jego rodziny. Duchowny gospodarz, ksiądz Aleksander Dobrucki przyjął go bardzo życzliwie, potwierdził, że kancelaria przechowuje niemieckie księgi i dokumenty, i udostępnił je gościowi. Sam proboszcz po niemiecku nie mówił, ale gubiński organista, urodzony na Śląsku Bernard Kusch (dziś już nieżyjący, pochodził z miejscowości Otmęt koło Krapkowic) władał językiem sąsiadów biegle. Był więc tłumaczem podczas tej krótkiej wizyty. Atmosfera była tak miła, a spotkanie w 1967 roku nabrało tak dużego znaczenia dla przyszłości biorących w nim udział, że dziś Hubert wspomina je jako najważniejsze w swoim życiu. Wtedy polski organista i niemiecki katolik po raz pierwszy dowiedzieli się o sobie czegoś więcej i wymienili adresami, choć tak bliskimi, to jednak jednocześnie nieprawdopodobnie odległymi.

Długo musieli czekać na kolejne spotkanie. Obaj o nim marzyli, ale ich prywatne przecież potrzeby zależały wówczas od sytuacji politycznej i decyzji zapadających na szczeblu państwowym. 1 stycznia 1972 roku otwarto dla bezpaszportowego i bezwizowego ruchu turystycznego granicę polsko-niemiecką. Hubert już nie odwiedził komorowskiej ulicy Okrzei, coraz mniej-szego znaczenia nabierał pusty ogród, a coraz ważniejsza stawała się przyjaźń z polskim organistą i jego znajomymi. "Czas leczy z takich przykrych przeżyć". Przez prawie dziewięć lat Hubert stał się znowu obywatelem całego miasta. Dzielił radości i smutki z zaprzyjaźnionymi Polakami, a oni z nim. O świętej pamięci Bernardzie mówi "brat". Żyli się bardzo. Bernard był tłumaczem Huberta na rodzinnych i towarzyskich spotkaniach, zawsze siedzieli blisko siebie. Siłą rzeczy Niemiec zawsze kierował swe pierwsze kroki do parafii, w której znajdował bratnią duszę. Wtedy też postanowił nauczyć się języka polskiego. Osobistą tragedią było dla obu podjęcie decyzji o zawieszeniu ruchu przygranicznego w październiku 1980 roku. Powróciły dawne demony i życie w izolacji. Przyjaciółom pozostał kontakt telefoniczny, z którego korzystali bardzo często. To niesamowite, ale Niemiec, który obarczył w młodości Polaków za całe zło, które przytrafiło się jemu i jego rodzinie w ostatnich tygodniach II wojny światowej i bezpośrednio po niej, niewymownie tęsknił w latach osiemdziesiątych do znajomych Polaków, którzy przecież tak samo jak inni mieszkańcy Gubina mieszkali w jego Heimacie, w jego przedwojennym domu, a stało się to przecież możliwe tylko dzięki uprzedniemu wywłaszczeniu i wypędzeniu tysięcy Niemców!

W 1985 roku przytrafiła się niespodziewana możliwość przejścia "na drugą stronę". Z okazji majowych obchodów święta zwycięstwa nad faszyzmem zorganizowano w Gubinie manifestację, na którą zaproszeni zostali także przedstawiciele bliźniaczego miasta. Zakład samochodowy, w którym Hubert wówczas pracował, otrzymał dziesięć "zaproszeń", a jedno z nich cudem dostało się w jego ręce. Przemówienia na "Placu Wdzięczności" z pomnikiem żołnierzy radzieckich poległych w czasie wyzwolenia miasta trwały bardzo długo i wszystkie utrzymane były w duchu przyjaźni polsko-niemieckiej. Po manifestacji Hubert poprosił swojego szefa o pozostanie jeszcze po stronie polskiej, obiecał wrócić do Guben na czas i nie narobić przełożonemu kłopotów. Udał się do kościoła, w którym był chrzczony i w którym przyjął pierwszą komunię świętą. Z daleka, idąc ulicą Królewską, słyszał melodię graną przez Bernarda. Wszedł na chór i bez słowa stanął koło grającego. Zaskoczenie i wzruszenie było tak wielkie, że dziś, gdy wspomina

tamten moment, podziwiał kunszt Bernarda, który chyba tylko cudem się nie pomylił.

Na przyjaciela czekał przed kościołem. Msza, którą muzycznie oprowadził organista towarzyszyła zaślubinom pary, która wesele wyprawiała w miejscowości oddalonej od Gubina o około 20 km. Na uroczystość był także zaproszony wraz z małżonką Bernard. Poprosił Huberta o chwilę cierpliwości i wrócił z informacją, że on świętuje dzisiaj w Gubinie, ze swoim szczególnym przyjacielem. Rozmawiali bardzo długo. Na granicy Hubert Grajewski pojawił się chyba jako ostatni, koło północy. Niezadowolony z tego faktu żołnierz niemiecki próbował strofować marudera, ale Hubert przypomniał sobie przemówienia z manifestacji i powiedział tylko, że on ma w Gubinie przyjaciela...

Rok później, także niespodziewanie, przytrafiła się Hubertowi kolejna możliwość przekroczenia granicy polsko-niemieckiej. Dowiedział się, że można złożyć podanie o odwiedzenie Polski. Należało podać cel podróży, miejsca, w których będzie się przebywać i hotele, w których planuje nocować i... wpłacić do biura podróży 400 marek, na nocleg. Na rozpatrzenie wniosku czekało się ponad trzy miesiące, ale "było warto". Razem z dwoma kolegami z Berlina postanowili podać jako oficjalny cel swojej eskapady Wrocław i okolice. W ciągu pięciu dni objędzili samochodem 15 adresów polskich przyjaciół, także tych, których poznali jeszcze w 1966 roku. We Wrocławiu nie przebywali więc długo, za to "pełno ich było" w innych miejscowościach południowej Polski. Ostatnim adresem, pod który podjechali, był dom organisty Bernarda. Znowu wielkie zaskoczenie i olbrzymia niespodzianka. Te spotkania mają dla Huberta nieocenione znaczenie. Okazało się, że zawsze może liczyć w Polsce na gościnę, wszędzie, nawet po prawie dwudziestu latach (jak np. w Częstochowie) był poznawany i przyjmowany z niekłamną radością. To budujące, przynosi tę szczególną radość, jaka towarzyszy spotkaniom po latach, ale mobilizuje też do dalszego działania, daje do zrozumienia, że mimo wszystko warto, potwierdza słuszność obranej gdzieś w latach 60. przez młodego Niemca życiowej drogi.

## **ZAKOŃCZENIE**

Dzisiaj Gubin jest wzorcowym euromiastem wyróżnionym medalem i flagą europejską. Hubert może bez przeszkód czuć się obywatelem Niemiec

kiego Guben i polskiego Gubina. Czas błęgiego dzieciństwa na Siedlerwege minął bezpowrotnie, ale bycie mieszkańcem Gubina ma dziś dla Pana Huberta całkiem inny wymiar. Ma po polskiej stronie mnóstwo przyjaciół i wciąż poznaje nowych, może bez żadnych ograniczeń poruszać się po mieście i kraju, który próbował poznać w o wiele trudniejszych niż dzisiaj czasach. Często jest przez Niemców pytany, czy nie boi się chodzić po polskiej stronie wieczorami, albo nocą, na co odpowiada, że tak jak Niemcy, Polacy nie zrobią nikomu krzywdy, jeśli nie będą mieli powodu. A on takiego powodu stara się nikomu nie dawać.

Analizując swoje życie, starszy pan stwierdza, że wyciągnął wnioski z kilku życiowych przygód i to wpłynęło na zmianę jego światopoglądu, na to, kim dzisiaj jest. Przypomina sobie radzieckiego oficera, który podzielił się z mieszkańcami Gehren jedzeniem, pamięta Polaka, dzięki któremu ma w swoim domu krzyż - rodzinną relikwię, ale pamięta też Polaka Józefa, który zesłany na roboty do Gehren, do państwa Großmann, nie chciał po wojnie opuszczać gospodarzy, u których czuł się jak w domu...

On, Hubert Grajewski jest dziś człowiekiem szczęśliwym, bo udało mu się wyciągnąć wnioski z historii, o którą się otarł. Jako wysiedlony młody Niemiec zaczynał swoje życie w zachodniej części Guben. Tu skończył szkołę, miał kolegów, tu pracował na majątek, który dziś posiada. Patrząc na swoje życie, jest z niego zadowolony. Szkoda mu jedynie rodziców, którzy nie mieli już szansy poukładać swojego życia od początku. Oni utracili wszystko prócz rodziny. Może dlatego dożyli sędziwego wieku? Mój rozmówca zdążył poznać Polaków na tyle, by zrozumieć podobieństwo losów obu narodów. Dziś, tak samo jak wypędzonym wiosną i latem 1945 roku Niemcom, współczuje przesiedlonym na ziemię ponemieckie Polakom. Wie, że gdzieś na Wschodzie oni też pozostawili swoje "Heimaty", groby najbliższych, przyjaciół z dzieciństwa czy majątki.

Zaletą pana Huberta jest umiejętność szczerzej rozmowy z każdym. Mówi, że nie boi się zagadnąć przygodnie spotkanych młodych Polaków i nawiązać z nimi rozmowy. Pyta, opowiada, wciąż poznaje nowych ludzi. W nich znajduje olbrzymią siłę, która starszego pana mobilizuje i pcha do działania. Jest spokojny o przyszłość.

Historia magistra vitae est? Tak, ale tylko wówczas, gdy podejmie się trud wyciągnięcia z niej wniosków! Hubert Grajewski swoje szanse potrafił wykorzystać.

## Restauracja "Engelmanns Berg" i gubińscy Druidzi

Ostatnio sporo dyskutuje się o dawnym pięknie Wzgórz Gubińskich. Studenci piszą prace, prezentują koncepcje zagospodarowania, upiększenia i rekreacyjno-turystycznego wykorzystania terenu. Dlatego poniżej prezentuję ciekawy artykuł o otwarciu restauracji "Engelmanns Berg", jaki napisał Joachim Winkler w Gubener Heimatbrief 2/2010, s. 30-33. Może w przyszłości ktoś dysponujący odpowiednimi środkami finansowymi będzie miał pewne odniesienia.

Starzy gubinianie, opowiadając o terenach byłych sadów owocowych (terenach kwitnących sadów), wymieniają jednocześnie restauracje "Schönhöhe", "Wilhelmshöhe" lub "Engelmanns Berg". Niestety, wszystkie znikły, pozostały jedynie wspomnienia. Wspomnieć trzeba restaurację na wzgórzu "Engelmanns Berg", która powstała przed 150 laty. **Było to 1 kwietnia 1860 r., gdy tkacz Eduard Engelmann na najwyższym punkcie Wzgórz Gubińskich, za ulicą Breiter Steig (Szeroka Ścieżka, obecnie Różana) swoją restaurację otworzył.** Była ona jednocześnie miejscem najpiękniejszego widoku na okolice dla mieszkańców i odwiedzających. Z tego miejsca rozlegała się wspaniała panorama otoczenia. U stóp, po stronie prawej, ogrody i sady na wzgórzach wzdłuż Nysy, po stronie lewej wzgórze wzdłuż Lubszy. Przed sobą widok na miasto, a poza nim na dolinę Nysy i wzgórze Kaltenborn i Reichenbach. Przy ładnej pogodzie widać było okoliczne wioski i wieże kościołów.

Do rodziny Engelmann restauracja należała do 1914 r., po czym sprzedano ją restauratorowi Martinowi Schulze. Po kilku latach sprzedał ją kupcowi zbożowemu E.F. Müllerowi, który po kilku latach rozebrał i na tym miejscu wznosił budowlę podobną do pałacu. U wielu pozostała w pamięci jako "Engelmanns Berg". Ale w tym czasie nie było w nim już restauracji ani oficjalnego udostępniania budynku. Ten zbudowany w latach 1924/25 budynek służył jako miejsce spotkań. Nowo wybudowany obiekt nabyła na krótko Gubeńska Loża Druidów "Zur Hoffnung" (Do nadziei), który służył jako dom spotkań i zebrań.

W dniu 22 lutego 1925 ku zadowoleniu mieszkańców Guben otwarto tu powtórnie restaurację "Engelmanns Berg". Wówczas pierwszym restauratorem był Gustav Degenhardt. Przed otwarciem budynek do nowych celów przebudował i pięknie odrestaurował gubeński architekt Willi Zeschke oraz gubeńscy rzemieślnicy i artyści.



W ciągu lat była to najmilsza i najchętniej odwiedzana przez gubienian restauracja, raz ze względu na piękne położenie, ale też wspaniałą gastronomię. "Engelmanns Berg" był nie tylko lokalem odwiedzanym w okresie kwitnienia sadów, ale także z okazji przedstawień, zebrania stowarzyszeń, było to też miejsce spotkań wyższych sfer miasta. Często odbywały się tutaj uroczystości rodzinne. Z okazji święta strzeleckiego Bractwo Strzeleckie miało tu spotkania, w czasie których król strzelców po zawodach wydawał uroczyste śniadanie.

Z początkiem niemieckiego państwa nazistowskiego zmieniono właściciela, bowiem spotkania były niepożądane, a w 1935 zabronione i rozwiązane. Gubeńska loża "Zur Hoffnung" zachowała się zreżcznie i przewidująco, przepisując udziały własnościowe na wszystkich członków. Loży nie pozbawiono własności, bo nie była już właścicielem. W księdze mieszkańców z 1939 widnieje kotlarz Emil Künzel i inni, jako współwłaściciele "Engelmanns Berg".

Zachowane zdjęcia świadczą o wspaniałości budynku. Przez środkowe wejście wchodziło się do głównej sali restauracyjnej, która w kierunku południowo-wschodnim łączyła się z ogrodem zimowym. Parter posiadał hote spacerowe i dziedziniec wewnętrzny. Drewniane schody prowadziły na piętro, którego centrum był 10 x 14 m pokój spotkań (uroczystości). W kierunku północnym była sala łoży i inne pokoje dla mniejszych towarzystw. Z pokoju spotkań było wyjście w kierunku strony południowej (frontowej) na taras widokowy. Stąd rozpościerał się wspaniały widok na miasto i okolice. Czworokątna wieżyczka widokowa wznosiła się na grzbiecie dachu (kalenicy), często odwiedzana przez gości. Kawiarenka położona na szerokim tara-



**Hol główny restauracji Engelmanna. Widoczne na zdjęciu kolumny wykonane były z czarnego włoskiego marmuru**

sie z dalekosiężnym spojrzeniem ponad Guben oferowała wielu gościom miejsca siedzące. Był też ogród kawowy pod wielką starą lipą z szeroką koroną.

Według legendy została ona w roku 1825 przez pomyłkę odwrotnie zasadzona, korzeniami do góry z koroną do ziemi.

Nie ma już "Engelmanns Berg". Wojna z jej następstwami zniszczyła obiekt. Ruiny porosły krzewy i chwasty, niestety też piękną kawiarnię ogrodową. Jednak i dziś warto się wspiąć pod górkę, by rozkoszować się pięknym widokiem.

*PS. W kontekście interesującej informacji o posiadaniu restauracji przez Lożę Druidów, przypomniało mi się przypadkowe spotkanie kilka lat temu (4-5 lat) w Muzeum Miasta i Przemysłu w Guben. Helmut Presch urodzony przed wojną w prawobrzeżnym Guben przy Neustadt 47 (obecnie ul. Obrońców Pokoju) wspominał, że w roku 2008 humanistyczne Stowarzyszenie Druidów będzie świętować 100-lecie. Nadmieniał właśnie o loży, "zakonie" Zur Hoffnung. Miał marzenie, życzenie, aby na Wzgórzach Gubińskich zrobić jakieś Światelko, Znak Pokoju. Co jeszcze? Ojciec ww. pochodził z pobliskiego Ratzdorf, rodzice na Starym Mieście przy Salzmarkstraße prowadzili sklep. Wtedy nie miałem czasu zająć się tematem, a pan Helmut później nie odezwał się.*

*Druidowie według Władysława Kopalińskiego (Słownik mitów i tradycji kultury, Kraków 1991, s.223) to międzyplemienny zakon starożytnych kapłanów celtyckich z siedzibą w Brytanii. Sprawowali też funkcje sędziów, lekarzy i magów. Po rozwiązaniu organizacji przez Rzymian spadli do roli nieszkodliwych wróżbitów, wkrótce jednak przejąwszy rzymską wiedzę, stali się nauczycielami i przyczynili się do szybkiego rozwoju kulturalnego Galii. Jedynym niemal źródłem literackim wiedzy o kulcie druidycznym są Pliniusz i Pamiętniki Cezara: obrządki religijne druidów odbywały się w dąbrowach leśnych, czcili oni dąb i jemiolę, obserwowali gwiazdy, wierzyli w wędrówkę dusz i uprawiali magię.*

*W "Słowniku języka polskiego" z 1978 r. druidyzm określono jako kult religijny starożytnych Celtów polegający m.in. na czci przyrody. Druidowie odegrali dużą rolę w życiu społecznym i politycznym, zwłaszcza od II w. p.n.e do II w. n.e.*

*Sądzę, że Gubeńską Lożę Druidów "Zur Hoffnung" można zaliczyć do pomniejszych organizacji parawolnomularskich, paramasońskich z*

*szerokiego kręgu organizacji humanitarnych (o masonach pisałem w biuletynie SPZG nr 4, grudzień 2010). W latach dziewięćdziesiątych XIX w. czynne było w Katowicach "Zjednoczenie Druidów" podległe kierownictwu w Berlinie.*

*W Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w Świdnicy koło Zielonej Góry znajdują się celtyckie dwutwarzowe paciorki szklane z II w. p.n.e., jedyne w Polsce i nieliczne w Europie Środkowej. Znalezione je po wojnie w Domaniowicach koło Głogowa.*

*Być może uda się dopisać ciąg dalszy historii Gubeńskich Druidów.*

*(wt)*

## **Gubin kontra Warszawa, czyli... Małe też może być piękne**

**Znany satyryk i poeta Jan Izydor Sztudynger już dawno stwierdził ironicznie, że "Wszystko się w Warszawie skupia... poza zostają zadupia".**

Ale czym nasz Gubin, niby zadupie, różni się od Warszawy? Faktycznie jest o wiele mniejszy, ale za to jak dużo życiowej przestrzeni ma każdy mieszkaniec Buga. Większość powojennych mieszkańców Warszawy to są ci zza Buga przyjechawszy, podobnie jak w Gubinie, ale ile w nich pychy. Na przykład ta ich ulica Marszałkowska, ale jakiego Marszałka - to nie wiadomo, Żukowa czy innego krasnoarmiejca. A nasza marszałkowska nie jest anonimowa i każdy wie, że Marszałka Michała Żymierskiego - pseudonim "Rola". O tej roli to różnie mówią: jedni, że żyzna, inni, że bagnista. Albo weźmy te ich Aleje Jerozolimskie. Ulica owszem, okazalsza niż nasze Aleje Łużyckie, ale od czego oni wzięli taką nazwę? A te dzielnice - "Targówek". U nas też jest targówek, a nawet dwa, a do tego klientela zagraniczna. W czym są lepsi, że mają "Bródno"? U nas też jest brudno, ale my nie piszemy z dużej litery i przez "ó" z kreską, tylko normalnie. Albo taka "Wola" czy "Ochota"... też wielką literą. My też mamy i wolę, i ochotę na wiele rzeczy, choć gorzej z możliwościami. Szczyłą się tym swoim lotniskiem. Ale ile przy tym huk, nasze "lotnisko" nikomu nie przeszkadza.

Faktem jest, że mają wiele dworców kolejowych, a my tylko jeden. Ale u nas pociągi się nie spóźniają, a u nich się spóźniają. W Gubinie są dwie rzeki, a w Warszawie tylko jedna, a że szersza, to tym gorzej dla nich, nasza też czasem bywa szersza. My za to mamy osiem mostów, w tym dwa międzynarodowe, a oni tylko sześć, w tym jeden "Poniatowskiego".

Ale sam Szanowny Pan Poniatowski mieszka w Gubinie.

Chwałą się "Łazienkami" czy "Starówką". Jakby u nas nie było łazienek. A nasza starówka to nie jakieś zaułki zabudowane starymi kamienicami, może nawet z gubińskich rozbiórek. Gubińska "Starówka" to rozległe zielone pola porośnięte drzewami i wykoszonymi trawnikami. Do cna opanowała ich ta pycha i gigantomania. Na przykład sławny aktor - Marek Kondrat, bo warszawiak? Gdyby żył w Gubinie, to pewnie nazywałyby się Kondracik. Nawet subtelniej.

Jednego nam jednak żal: tych poruczników, kapitanów, majorów. Lecz na osłodę został nam jeden major, a ściślej, to Majorek - Renata. Ale już największą pychę w tych warszawiakach wywołuje ten ich Pałac Kultury i Sztuki. Jednak wielką sztuką jest mieć kulturę bez pałacu.



*autor: Henryk Kapliński z grupy Poetycko-Teatralnej "UTW-ór", prowadzonej przez Renatę Katarzynę Majorek z Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Gubinie*

## Wystawa w Guben

GUBEN. W gubeńskim muzeum Sprucke Muehle uroczyste otwarto wystawę zatytułowaną "Techniki fotograficzne od 1955 roku do dziś". Autorem wystawy jest Joachim Klos, znany gubeński regionalista, radny miejski i człowiek niemal od zawsze związany ze sportami wodnymi i ratownictwem. Większość zaprezentowanych aparatów i innego sprzętu fotograficznego stanowi własność autora wystawy, który jest po-



**Autor wystawy Joachim Klos opowiada gościom wernisazu o swojej pasji**

nad inne pasje także fotografem. Obiektyw J.Klosa dokumentuje wydarzenia, których był autorem, współorganizatorem i obserwatorem. Warto wspomnieć, że J.Klos jest wielce szanowanym przyjacielem wielu mieszkańców Gubina. Urodził się w 1939 roku w podgubińskiej Zawadzie. Tam znają go dziś wszyscy mieszkańcy wsi. **Wystawa jest czynna od 14 marca do 22 kwietnia. Kontakt poprzez Muzeum Miasta Guben przy Gasstrasse (w urzędzie miasta).**

Na tej cyklicznie ukazującej się stronie naszego Biuletynu SPZG staramy się Szanownym Czytelnikom przybliżyć osoby niezwykcyjne. Często mało znane, ale tak wiele znaczące kiedyś w życiu miasta. Gościły na tej stronie osoby powszechnie znane nie tylko w Gubinie, ale i w kraju, urodzone lub związane z Ziemią Gubińską.

Do grona osób niezwykcyjnych można śmiało zaliczyć Honorowych Obywateli Gubina. Pierwszy tytuł Rada Miejska nadała 19 grudnia 1991 roku Horstowi Lecke, burmistrzowi Laatzen. Przez 20 lat nadano ten tytuł osiemnastu obywatelom nie tylko Gubina. Ponieważ nigdzie nie publikowano ich życiorysów, chcielibyśmy w ten sposób przybliżyć ich postaci i dokonania. O kolejności decydują możliwości pozyskania materiałów. Dziś Honorowy Obywatel Gubina, nieżyjący już

## Stefan Ciszek

Przyszedł na świat 25 sierpnia 1923 r. w rodzinie Jana i Marii Ciszków, rolników wsi Występy, w kieleckim. Jako 16-letni chłopiec został wywieziony na roboty przymusowe do bauera we wsi Waltersdorf koło Luckenwalde.

Po wojnie został skierowany do służby w Milicji Obywatelskiej. W 1948 roku zarzucono mu, że przy wstępowaniu do MO użył podstępnych zabiegów, ukrywając swoją przynależność do NSZ. Sąd Wojskowy uniewinnił go od tego zarzutu. Mając w Zielonej Górze rodzinę ze strony żony, postanowił tam wyjechać.

1 sierpnia 1965 r. przybył do Gubina. Tutaj rozpoczął pracę na stanowisku zastępcy dyrektora Bogusława Kurpasa w Zakładach Odzieżowych "Goflan". Potem cztery lata pracy w "Carinie" i na wniosek wojewody Jana Lembasa od 1 listopada 1975 r. powołany na stanowisko Naczelnika Miasta w Gubinie. Na tym stanowisku pozostał nieprzerwanie do 1 października 1985 roku, kiedy to odszedł na emeryturę.

Za czasów Jego naczelnikowania miasto zmieniło się nie do poznania. Był to m.in. czas otwarcia granicy z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Miasto wyróżniało się wówczas tysiącami róż na nowych klombach, a wielu



mieszkańców ten obrazek wspomina do dziś. A śp. Stefana Ciszka? Pamiętają jako dobrego gospodarza, przykładnego mówcę i eleganckiego mężczyznę w każdym calu. Myśliwi wspominają czasy wspólnych polowań z panem naczelnikiem, a później już emerytem. 17 sierpnia 2000 roku Rada Miejska nadała mu tytuł Honorowego Obywatela Miasta. Estetą pozostał do końca swoich dni. Zawsze z białą chusteczką w kieszonce marynarki. Takiego pamiętamy Go do dziś. Zmarł 19 maja 2004 roku. (sp)

## W służbie Gubinowi na stanowisku naczelnika miasta 1975-1985

**Poniższy tekst jest fragmentem wspomnień śp. Stefana Ciszka napisanych na konkurs organizowany przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, a poświęcony wspomnieniom z życia i pracy na pograniczu.**

[...] Nominację na to stanowisko (naczelnika miasta - dop. mój), podpisaną przez wojewodę Jana Lembasa, otrzymałem z rąk wicewojewody po powrocie z wycieczki do Moskwy i Leningradu "Pociągiem Przyjaźni". Wycieczka ta pozostanie mi na długo w pamięci. Gubin na ten czas liczył 16.200 mieszkańców i miał do rozwiązania bardzo pilne problemy. Do nich należało zaliczyć: 1. Słaby rozwój budownictwa mieszkaniowego; 2. Zapewnienie dostawy wody w górnych częściach miasta; 3. Uporządkowanie ulic i oświetlenia; 4. Stworzenie zaplecza dla działalności kulturalnej; 5. Odbudowa Ratusza; 6. Budowa krytej pływalni.

Były to zadania niełatwe do realizacji, ale konieczne ze względu na dalszy rozwój miasta. Z tymi sprawami zwróciłem się do społeczeństwa w zakładach pracy, do jednostek wojskowych miejscowego garnizonu, do dowódcy dywizji. Otrzymałem powszechną aprobatę i deklarowaną pomoc. W zakładach pracy samorządy robotnicze przeprowadziły szeroką kampanię popularyzującą te zadania, doprowadziły do samoopodatkowania w wysokości 0,25% od funduszu płac na zasilenie pływalni. Ten fakt dawał Gubinowi do ręki atut, aby o resztę środków ubiegać się z funduszy Toto-Lotka. Resztę załatwił wojewoda Lembas. Przy pracach prostych, ale nie tylko, pomocy udzielało wojsko i jego dowódcy, a szczególnie pułkownik, a potem generał Zdzisław Głuszczyk. I oto basen służy dziś ludziom.

Udało się przekonać ludzi, że to co robimy, ma swój sens i będzie służy-

ło Gubinowi i jego mieszkańcom przez bardzo wiele lat. Udało się również spopularyzować podejmowanie czynów społecznych, dobrze i trafnie prze-myślanych. Tak powstała siedziba policji, ówczesnej MO. Swoją wkład czy-ny społeczne mają w odbudowie Szkoły Muzycznej i uporządkowaniu par-ków i zieleńców, na przykład parku koło ratusza, a także obejść domo-wych na osiedlu wojskowym położonym w górnej części miasta i nie tylko tam. Nie udało się podjąć odbudowy kościoła farnego. Proponowaliśmy razem z konserwatorem wojewódzkim, dr Stanisławem Kowalskim, że pań-stwo zrobi dokumentację i inwentaryzację. Odgruzuje, wyasygnuje środ-ki na odbudowę w wysokości - jak pamiętam - na poziomie 23% przez długi okres jego odbudowy. Nieodżałowanej świętej pamięci ks. kanonik Alek-sander Dobrucki przedstawił te propozycje swoim władzom, ale te tej ofer-ty nie przyjęły. Zbudowano nowy kościół - na pewno ładny, ale w tej sytu-acji katedra nie ma szans na odbudowę przez bardzo wiele lat i w takim stanie chluby miastu nie przyniesie. Gdyby było inaczej naonczas, wierni mieliby Dom Boży do modlitwy, a miasto uporządkowany zabytek jako ostatni relikwium tej okrutnej wojny. To, co się udało Gubinowi w latach 1975-1985 załatwić, samo się chwali, ale warto jednak przypomnieć: 1. Wodo-ciąg od ujęcia do zbiornika wyrównawczego; 2. Zbiornik wyrównawczy na 2500 m sześć, wody; 3. Odbudowa ratusza; 4. Zbudowanie pływalni w czynie społecznym; 5. Przychodnia lekarska na ul. Gdańskiej; 6. Dworzec PKS; 7. Przedszkole nr 3 na 120 dzieci przy ul. Wojska Polskiego; 8. Amfiteatr przy ul. Piastowskiej; 9. Budynek dla Szkoły Muzycznej; 10. Dom przedpogrzebowy na cmentarzu; 11. Nowe skrzydło dla szkoły nr 3; 12. Piekarnia i masarnia na ul. Koszarowej wzniesione przez GS i jej prezesa; 13. Osiedle mieszkaniowe na górze miasta tzw. osiedle E.Plater; 14. Zieleńce i parki, w tym koło ratusza, Waszkiewiczza i Moniuszki; 15. Rozbudowa szkoły rolniczej - hala sportowa, warsztaty; 16. Siedziba poli-cji zbudowana w czynie i pomoc finansowa KW MO; 17. Remont Urzędu Miasta i Gminy; 19. Most przy ul. Słowackiego i dwie kładki przy ul. Dąbrowskiego; 20. skrzydło Szkoły Zawodowej oraz internat przy Nysie; 21. Plac zabaw przy ul. Roosevelta; 22. Zbudowano zajazd "Bolko"; 23. Utworzono regularną komunikację miejską; 24. Odtworzono wał przeciw-powodziowy; 25. Uczyniono z Wiosny nad Nysą imprezę międzynarodową; 26. Zbudowano budynek patronacki przy ul. Piastowskiej na 50 miesz-kań; 27. Gubin za całokształt działalności został odznaczony Odznaką Wojewódzką oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Realizacja wymienionych pozycji nie była łatwa. Trzeba było nie lada zabiegów u znaczących osób wśród władz wojewódzkich i wojskowych. Zapraszałem tu wszystkich czterech wojewodów, jakich przeżyłem i przy każdej okazji zawsze coś dla Gubina załatwiano. W roku 1979 zaprosiliśmy z Jankiem Klimkiem całą egzekutywę KW PZPR z Mieczysławem Hebłą i Janem Lembasem na czele. Pokazując Gubin, powiedziałem, że tu Polska się zaczyna. Wówczas przyjęto bogaty program rozwoju, ale nie będę o tym mówił, bo rozwój wypadków wykluczył jego zamierzenia. Mimo wszystko to, co zrobiono, samo się legitymuje. Tak, że jak na czas wojny i całego rozgardiaszu i kryzysu, to i tak bardzo dużo. Ludzie pragnęli daleko więcej i nie ma nic w tym złego.

W dniu 23 września odbyła się sesja MRN i w punkcie "sprawy organizacyjne" przewodniczący MRN Franciszek Szachniewicz poinformował, że dotychczasowy naczelnik złożył wojewodzie prośbę o skierowanie go w stan spoczynku. Wojewoda wniosek ten przyjął. W pełni skupienia F.Szachniewicz odczytał uchwałę MRN o nadaniu naczelnikowi "Medalu dla Zasłużonych dla miasta". Wówczas zabierając głos, powiedziałem, że decyzję o odejściu na emeryturę powziąłem jeszcze w roku ubiegłym podczas rozmowy z wojewodą Mikołajczakiem. W roku bieżącym, w miesiącu maju potwierdziłem ją podczas rozmowy z wojewodą Zbyszko Piwońskim, podczas której był obecny przewodniczący ppłk F. Szachniewicz. W ten sposób zrealizowany został mój osobisty plan życiowy wychodzący naprzeciw niektórym oczekiwaniom. W tym wystąpieniu dokonałem podsumowania wszystkich spraw, które Gubin w ciągu tych 10 lat rozwiązał. Na zakończenie złożyłem podziękowania wszystkim radnym, pracownikom, organizacjom, szkołom, wojsku, milicji, oświacie, straży, kolejarzom, celnikom, WOP-istom, całemu społeczeństwu, a szczególnie gorąco podziękowałem proboszczowi ks. kan. Aleksandrowi Dobruckiemu za jego zaangażowanie w sprawach publicznych miasta i za wieloletnią owocną współpracę. Na koniec życzyłem miejskiej radzie, aby w całości zrealizowała swoje plany, następcy - uporę i pracownikom, aby trwali w ich trudnej i niedocenianej pracy. Miastu - mądrych decyzji służących jego rozwojowi.

Funkcję pełniłem jeszcze do 1.10.1985 r., a potem przeszedłem w stan spoczynku. Prawie całe moje zawodowe życie oddałem Środkowemu Nadodrzu - od Zielonej Góry w 1949 r. poczynając, na Gubinie kończąc, w którym żyję do dziś.